

JULIUSZ KADEN - BANDROWSKI

MIASTO
MOJEJ MATKI



INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

MIASTO MOJEJ MATKI

JULIUSZ KADEN - BANDROWSKI

MIASTO
MOJEJ MATKI



Z. 18

INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603772

—
PRINTED IN ITALY
—



I. 300.474

SGZ, ARCHIWALNY

O. G. I. - VIA CESENA 14 - TELEFONO 767166 - ROMA

1944 2434/4

MIASTO MOJEJ MATKI

Przypomnij sobie, co myślisz o ojcu, co i jak myślisz zwykle o matce.

Ojciec to twoja дума, tarcza, sława i obrona, — od najmłodszych lat. Gdy mówią o tobie obcy, zwykle pytają — a czyj to? Z których to, proszę państwa, takich, siakich, owakich, — Malinowskich, Ostrowskich, czy Symchów? Czy to będzie, proszę pani, tego naszego doktora?

Posłuchajno uważnie, powiedzieli "naszego". Widać twój ojciec leczył ich tam gdzieś jakoś i radził im i pomagał, — naszym go nazywają.

Więc nawet nie odpowiadasz wcale na takie pytanie, tylko piersi ci się uniosły wysoko, policzki objął rumieniec i ciepło płynie przez serce.

A jeśli twój ojciec jest jeszcze bardziej znany, sławny w całym kraju, wystarczy, że wymówią wasze wspólne nazwisko, twoje i ojca, — bo jedno przecie macie na zawsze, — i pokręca nad tobą głowami. Jakby od razu korzyść niewidzialną z tego nazwiska czerpali.

A jeśli twój ojciec nie jest człowiekiem sławnym, ale, przypuśćmy, takim sobie zwykłym człowiekiem, to przecie i ty wiesz, ilu ludzi przychodzi do niego ciągle po jego pracę.

Jeżeli jest szewcem, ciągle go potrzebują, stukają w okno, w drzwi. Tak długo siedzą na zydłu i czekają. Jeżeli jest zwykłym górnikiem i skalę tylko kruszyć umie? Ty wiesz, że jego prosta praca daje ludziom ciepło przez zimowe miesiące, i co więcej, jest duszą całego przemysłu.

Jeżeli jest listonoszem, czyli, że roznosi listy, — jest ważnym posłem, nie mniej ważnym od posłów, którzy jadą w karecie przez wielkie, obce miasto, wysłani na koszt całego narodu. Nawet ważniejszym! Bo tamten poseł załatwia sprawy i interesy gospodarcze, czy polityczne, ale twój ojciec, listonosz, może w zwykłym liście przynieść wiadomość o narodzinach brata, szczęściu, lub nieszczęściu, jest więc posłem serca i miłości.

A jeśliby twój ojciec nie był ani sławnym, ani uczonym, ani robotnikiem, ani rolnikiem, ani listonoszem. Niech będzie tylko bardzo biednym człowiekiem. Żyje, jak może i tak mu trudno latać z dnia na dzień swój ciężki los.

To nic!

Od najbiedniejszych nawet ludzi są jeszcze zawsze i wszędzie biedniejsi, — taki jest świat. Ty wiesz, że dla tych biedniejszych tyle razy jeszcze twój najbiedniejszy ojciec był jedynym ratunkiem.

Gdy się o nim mówi, możesz być równie dumny, jak syn króla, prezydenta, doktora i listonosza.

Twój ojciec to twoja duma, honor, sława i obrona.

Ale matka?

Matka nie ma czasu wyjść z domu, bo ty tam jesteś z rodzicielstwem. Trzeba was karmić, pilnować, ubierać, trzeba przygotować, sporządzić to wszystko, czego codziennie potrzebujesz, a co ci się wydaje tak łatwe do zdobycia i do sporządzenia, jak powietrze, którym oddychasz. Wydaje się to łatwe,

Ło matka nigdy nie wypomina, że podaje ci te wszystkie rzeczy z wdzięczną radością.

Matka nie ma czasu wyjść z domu i żadnej drogi własnej nie ma, gdyż ty z rodzeństwem stoisz na wszystkich jej drogach, a ona ci ze wszystkich wszystko swoje oddaje. Własnego talentu, zabawy, nauki zaniedbuje, abyś ty miał każdej chwili ile ci tylko trzeba.

A jeśli pragniesz mało, gdy w niej jest więcej, ona to "więcej" zapomni i straci bez żalu, abyś miał właśnie dość, jak ci trzeba.

Przyzwyczajasz się i nie pamiętasz, ile w tym dobrej, a jakby bezimiennej, nienazwanej nigdy pracy i czujności. Tymczasem praca owa i czujność z drobiazgów złożona a ogromna, o której prawie nie wiemy, nie pamiętamy, nie raczymy myśleć, stanowi o naszym charakterze, wychowaniu i całym powodzeniu późniejszego życia.

Jako dorosły mężczyzna w pracy, w pokoju, na wojnie przekonałem się, że wszystko, com dobrego zrobił, w tych właśnie cnotach matczynych miało początek. Jej uśmiechy dawniej niezauważone, jej łzy tylekroć przez nas, dzieci, wzgardzone, jej myśli wielkie i skromne, tyle razy przez nas, młodych chłopaków, wyśmiane, one to przecie były nade mną, stopione w gwieździe przewodniej, błyszczącej radośnie nad każdą dobrą chwilą.

Teraz to wiem i rozumiem, ale powiedzieć matce swojej nie mogę, bo już jej nie ma na świecie.

I tu właśnie zaczyna się MIASTO MOJEJ MATKI z wdzięków i dobroci wzniesione, przy bezpowrotnej drodze człowieka chwalebnie budowane, nie w kamieniu, czy też w granicie, ani w kruszcu, — lecz budowane z cudownego drzewa ludzkiej wdzięczności. To wielkie miasto wszędzie za mną

chodzi, wszędzie gdzie jestem wonią jego oddycham i zawsze tylko jestem na jego krańcach, bo choć je przemierzam myślą wzdłuż i wszerz, nigdy piękności jego do gruntu nie poznam.

Czy mnie rozumiesz?

Ojciec, — to honor, siła i obrona. Gdy się człowiekiem stajesz, oddać mu będziesz mógł siłę, honorem i obronę.

Ale matce nigdy nie oddasz, dłużny już na zawsze. Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął — jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie.

Dlatego pierwsza moja książka dla młodzieży, dla was, kochani, dobrych nasi następcy, taki ma tytuł:

MIASTO MOJEJ MATKI.

A cel ma taki: byś, przeczytawszy te stronicę, niewiele o mnie myślał, lecz by się w tobie o zmroku czy południu wywiązał nagle ów poryw nieodrodny, którym zmożony pójdziesz do swej matki i nagle, ukradkiem, za rękę nawet nie biorąc, złożysz na jej czole ostrożny pocałunek, lżejszy, niż puch wierzby, płynący przez wiosenne powietrze.

RODZICE

(Czyli to, czego się nie da opowiedzieć)

Chcę opowiedzieć o pierwszych moich wspomnieniach, najpierwszych, o tym, co się pamięta, nim się wogóle cośkolwiek rozumie. Z różnych stron i czasów mego życia wynurza się tysiąc małych, pośpiesznych wydarzeń, a tyle ich jest, takim się zjawily natłokiem, że przeszkadzają tylko!

Siedzę więc nad pustą kartką papieru, udaję, że nie słyszę, jak ptaki świergocą na drzewach, jak na dole ktoś chodzi i hałasuje w bielonym wczoraj korytarzu, udaję, że nie widzę, jak wiatr miecie przez stół prochy kwitnącej przy domu akacji, — i mruczę do samego siebie. Własną myślą jakbym się zanurzał głębiej i głębiej, a byle co sprawia, że mnie tajemna woda przeszłości wyrzuca w górę, na samą powierzchnię dzisiejszego dnia.

Nie gorsz się dziwnym porównaniem. Napisałem *tajemna woda*, by rzecz nabrała zimnej głębokości, przez którą jakbym płynął do samych początków pamięci swego życia.

Aż oto nareszcie widzę najwyraźniej: Złota

lampa pod białym kloszem wisi w środku pokoju. Nade mną za gęstą siatką łóżka wznosi się po ścianie do góry, jakby łąka zielona, żółta i czerwona. Jest to wielki nowy dywan włóczkowy. Wisi na nim coś, co chcę mieć, dotykać, a najchętniej poślinić. To mała karabela w pochwie z czerwonego aksamitu. Macham rękami, upadłem, znowu się podnoszę.

Tymczasem wielka ręka mego ojca odpina szablę z dywanu i pod lampą, między ścianami, poważnie zaczyna kroczyć. Oczywiście, nie ręka, a ojciec w szarym, kostropatym ubraniu, z bródką i z wąsami. Gdy patrzy na mnie, wybucham śmiechem. Gdy położy rękę na moim czole, mógłbym od razu zasnąć.

Wymachuje karabelą, tupie mocno nogami i mówi do mnie. Nie rozumiem nic oczywiście, ale mówienie to sprawia mi niewysłowioną przyjemność.

Pod ścianą i za zakrętem dywanu siedzą roześmiane ciotki.

Ojciec zbliża się do łóżka, dzwoniąc kluczami. Dziś wiem, że klucze nosi się w kieszeniach, wtedy jednak, skądże miałem to wiedzieć ! Rozumiałem tylko, że kroki mego ojca wydają dźwięk drobno-go metalu.

I tak nas obu już na zawsze pamiętam: ojca, jak stoi naprzeciw, jedną rękę trzyma na mojej głowie a drugą podaje mi zimne, błyszczące klucze.

Okazało się później, że była to w naszym życiu chwila bardzo ważna. Z wielkiej żarłoczności zjadłem był pono surowego ziemniaka i ciężko chorowałem. Ów dzień szabli i kluczyków był pierwszym dniem powrotu do zdrowia. Podczas

mojej choroby rodzice utkali wspólnie ten dywan przez długie noce czuwania. Razem z małą karabelą zawiesili go nad łóżkiem.

Cała rzecz działa się w mieście Rzeszowie, gdzie później kiedyś zajechałem, już jako człowiek dorosły. Był wtedy śnieg, — zima i wojna zarazem.

Niby mnie coś prowadziło przez ulice zgłuszonego miasta i niby szedłem jakąś drogą w stronę rodzinnego domu, gdzieby mnie może czekały stare, chętne ściany. Już mi się zdawało, że widzę nasze okna, już im gotów byłem swą wdzięczność ofiarować, ale tu się numer bramy nie zgadzał, tam znów nazwisko właściciela całkiem było inne. To jedno tylko zgodziło się dosłownie, że dzwonki sianek tak właśnie grały w mgłę, jak zimne, gładkie, wesole klucze mego ojca.

Kiedyśmy w dzieciństwie moim przejechali z Rzeszowa do Krakowa, jak się to wszystko odbyło, — nie pamiętam.

Wiem tylko — i to jest drugie z kolei wspomnienie mego życia, żeśmy przyjechali, że stałem w jakimś podłużnym, wysokim pokoju. Wszystkie drzwi były pootwierane, przeciąg kręcił się w mroku. Stałem przy piecu, obok którego siedziała moja matka. Jej rozpuszczone brunatno-złociste włosy płynęły przez plecy za kolana, aż na podłogę.

Zawsze podczas bólu głowy rozplatała war-kocze.

Na stole paliło się kilka świec a po ciemnych pokojach chodzili tam i z powrotem robotnicy. Chodzili ciężko, z głuchym hałasem. Kosmatymi rękoma wnosili szafy i stoły, których zakurzone drzewo wydawało oschły chrzęst. Potem stawali na progu, wypinali brzuchy naprzód i utkwiwszy

oczy w drżącym płomieniu świecy, mówili bardzo głośno do matki.

Podnosiła z rąk głowę i odpowiadała, patrząc na nich smutnymi oczami.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jej słuchają; była tak drobna, że nawet mnie wydawała się ma-
lutka.

Obróciwszy się powoli dokoła, zbici w gromadę, znów razem wychodzili.

W pokojach wyrastały całe góry sprzętów, odwróconych tylną stroną, niby obcych i zawstydzonych.

Robotnicy przynieśli na pasach fortepian. Stał na środku podłogi, jakby "garbaty duch". Pobiegłem za nimi, żeby zobaczyć skąd przychodzą. Już w drugim pokoju straszno mi się zrobiło. Wracałem powoli pośród rozstawionych krzeseł i foteli, z całych sił patrząc do oświetlonej jadalni, gdzie pochylona przy piecu siedziała moja matka. Nie mogłem być zobaczyć jej twarzy, tylko szeroką strugę włosów, znad dłoni przez oparcie spływającą żywym światłem w niepewny, szary mrok.

Lata już minęły od tego czasu, a ile razy widzę jakiś dom, do którego szarówką wnoszą ludzie sprzęty... Powiem ci więcej, ile razy widzę jakieś roboty wielkie i trudne... Powiem ci jeszcze więcej, — ile razy widzę wielkie, trudne roboty i sam w nich jestem i działać w nich mam, tyle razy przypomina mi się i jakbym widział nad sobą i nad nami wszystkimi wysoko w mroku lśniące pasmo żywego światła.

Tyle ci chciałem opowiedzieć o pierwszych swoich wspomnieniach: jak ojca pierwszy raz w życiu zobaczyłem a jak matkę. Odłożę teraz pióro, za-

wołam moich chłopców i pójdziemy razem do lasu

A wiesz na co kładę pióro? Na *dywan mego zdrowia*, na mały kwadracik starej, zleniałej włóczki, który przetrwał od pierwszych chwil dzieciństwa mego a teraz leży cierpliwie przy kałamarzu. Bo tyle tylko zostało z zielonej, żółtej i czerwonej łąki, którą rodzice moi razem tkali i kiedyś na łóżeczkiem moim przywiesili. Kwadracik ten dla nikogo nie może mieć żadnej wartości. Ale jabym go za nic nie oddał.

Dla mnie bowiem ów wątył krzyżyk włóczki, to jakby małe, kolorowe okno, przez które jeszcze dziś słyhać dzwoniące klucze mego szczęścia i widać powłóczyste pasma największej miłości.



TAJEMNICZY PRZYJACIEL

(Wcale nie straszna a nadzwyczaj dziwna historia)

I

Jego powstanie

Jak się to stało, że zacząłem pamiętać nasze sprzęty, rozkład całego mieszkania, krewnych, którzy nas odwiedzali, i różne inne rzeczy — nie umiałbym nikomu opowiedzieć. Najserdeczniejsze węzły łączyły mnie narazie ze stolkami jadalni. Uważałem je za bardzo bliskich przyjaciół, na których jednocześnie można jeździć bezkarnie konno.

Jeżeli chodzi o pojmowanie przyjaźni, sędzę, że już wtedy rozumiałem ją dość dobrze. Za bliskich sobie uważamy przecież tych tylko ludzi, którymi łatwo nam powodować.

Wyplatani moi przyjaciele musieli skakać na politurowanych nogach po posadzce ile wlezie, i za prawdę, niejeden bat wystrzepił się na ich rzeźbionych galeryjkach.

Z wielkimi fotelami salonu, krytymi morelowym pluszem, nie można było utrzymywać tak zażyłych

stosunków. Co najwyżej, gdy rodzice szli do miasta, płynęliśmy na tych fotelach ze starszym bratem, który czytał wtedy o sławnym podróżniku Stanley'u, — przez dywanowy Nil bezbrzeżny do niezbadanego źródła tej świętej rzeki, to jest do staroświeckiego kominka, zbudowanego w kącie pokoju.

Krokodylami były po drodze małe podnóżki, z których oszczepem, czyli starym pogrzebaczem, wrywał mój brat resztki włosia, krzyząc przy tym zajadle:

— Farbuje, bestia, farbuje!

Robiło to na mnie tak potężne wrażenie, że lzy przerażenia stawały mi w oczach. Gdyby nie całe lata nauki, dziś jeszcze wierzyłbym chyba, że krokodyle mają krew suchą i siwą, jak włosie starego materaca.

W tym samym czasie wielkich podróży po dywanie wytworzyła się osobliwie poufna zażyłość pomiędzy mną a kadzią, w korytarzu przy kuchni. W kadzi była prawdziwa głęboka woda, odbijająca z łatwością wszystko, co się jej pokazało, nie wyłączając języka.

W kadzi było także echo.

Za rzecz prawie tak cenną, jak tę starą beczkę, uważaliśmy fortepian. Wnęki zakurzonego spodu instrumentu były dla nas ciemnymi grotami, w których, — aby się miały gdzie zaczajać, — ustawialiśmy nasze ołowiane dzikie zwierzęta. Wkrótce zapominaliśmy o nich, i dopiero kiedyś później, podczas mocniejszej gry zaczęły się przewracać,

Matka zerwała się od klawiatury, krzyząc:

— Mysz, w fortepianie mysz!

— A więc chociażby mysz, — odpowiedział ojciec, — cóż z tego?

Zaczął śmiało odsuwać fortepian od ściany.

Ze spodu czarnego pudła wyleciała nie mysz, lecz rymnął na podłogę lew, za nim słoń, tygrys, żyrafa z ułamaną głową, parę palm blaszanych, dwie zebry, szpulka od nici, jaguar i cały deszcz różnych mniejszych zwierząt.

Będziesz mi tu arkę Noego robił z fortepianu?!

— zawołał ojciec.

Nie rozumiejąc jeszcze, co znaczy arka, odpowiedziałem z dumą, że będę.

Niestety, z biurkiem ojca nie mogliśmy sobie poczynać, jak z kadzią czy fortepianem. Można było tylko zdjąć z zielonego sukna glinianą skarbonkę, w której grzechotały pieniądze, i — ale to już w całkiem wyjątkowych okolicznościach — można było „dostać na trochę” długi sztylet kościany do rozcinania kartek.

Mordowaliśmy nim różnych wściekłych Indian, zdaniem mego brata, — wszędzie obecnych, choć niewidocznych dla oka.

Mówię o biurku, a nie wspominam o biednym bracie biurka, który zawsze obok skromnie stoi, to jest o koszu na śmieci i papiery.

Był to dla nas prawdziwy, przez wszystkich ludzi na świecie tak pono upragniony róg obfitości.

Wyciągaliśmy z niego stare, pomięte listy i odprasowawszy pieczołowicie, wręczaliśmy sobie poważnie, mówiąc: List do szanownego pana dobrodzieja.

Z przetłuszczonego papieru od tytoniu skręcailiśmy świece, które tłac się, kopyły wspaniale. Odprawialiśmy przy nich różne nabożeństwa, na które

przychodzili niewidoczni Indianie i wszystkie nasze dzikie zwierzęta.

Z ustników na cygara robiliśmy wielkie białe kominy do „prawdziwych” lokomotyw, a za puste pudełka od zapalek płaciliśmy pod kanapą „czarnymi dniami”, zerwanymi z kalendarza. Czerwono drukowane święta i niedziele odkładało się zawsze na później.

Stary kosz na śmieci był niezgłębioną kopalnią guzików, dni, świąt, listów, pudełek, spraw, — i nigdy już potem tylu skarbów, na jednym miejscu w takim wyborze zgromadzonych, nie udało mi się spotkać.

Dlaczego teraz o tym piszę?

Dlatego, by ci przypomnieć, że nie nigdy na świecie nie może się zmarnować. Co jedni odrzucili, drudzy ukochać mogą. Z najlichszej rzeczy wytryśnąć zdoła czyjeś wielkie szczęście, i nie można niczym gardzić, by bezwiednie nie pomiatać marzeniem równego nam człowieka.

Do rzeczy, które wtedy nęciły naszą uwagę, dołączyć trzeba także paru tak zwanych „starszych”. Rozmaitych wujów, którym się włazi na kolana, by ciągnąć za krawatę, i ciotki, którym się włazi na kolana, by oglądać zamykany medalik.

Wujowie byli bardziej zajmujący. Mieli mnóstwo kieszeni, wąsy, mówili głośno i na pewno byli silniejsi od ciotek.

Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego ciotkom ustępują miejsca, całują je w rękę, lub otwierają przed nimi drzwi. Jakby taki wuj chciał i walnął mocno kulakiem, — co by mu zrobiła?! Przecieżby nie potrafiła oddać.

Z wujami miewaliśmy rozmaite przygody.

Jeden przyszedł raz jako strzelec austriacki, — a właśnie takimi ołowianymi strzelcami austriackimi bawiliśmy się pod stołem. Zjadł na leguminę dwadzieścia cztery pierogi z morelami. Jadł tak prędko, że tylko mu wąsy migwały. Staliśmy koło krzesła, trzymaliśmy jego bagnet i sapaliśmy głośno, żeby pomóc.

Matka moja powiedziała nagle:

— Ależ ty chyba pęknieś, Lutek.

Odpowiedział, śmiejąc się:

— Przepadam za morelami.

Pęknieś, Lutek, — czyż można sobie wyobrazić coś śmiesznieszego?!

Jest już teraz siwym staruszkciem, ale zawsze go pamiętamy jako strzelca, który „przepada za morelami”.

Drugi wuj odznaczał się tym, że się nami brzydził.

Przyszedł raz na drugie śniadanie, gdyśmy jedli chleb z masłem i z powidłami. Usiadł na kanapie i powiedział:

— Tylko proszę z masłem ode mnie z daleka.

Zbliżyliśmy się do niego nieznacznie. Zaczął uciekać, a potem krzyżeć:

— Precz z masłem!!

Teraz jest dyrektorem wielkiego banku. Przed wspaniałym gmachem ciągną się klomby kwiatów, przy lustrzanej bramie czekają cały dzień błyszczące samochody. Ile razy jednak tamtędy przechodzę, nie rozumiem właściwie, dlaczego na banku wuja nie ma napisu: Precz z masłem!

Miałem wujów i stryjów, braci ojca i matki. Długo nie rozumiałem, jaka zachodzi między nimi różnica. Ojciec opowiadał, że kiedyś był też mały

i miał własnych małych braci. Śmieliśmy się z tego na całe gardło, sądząc, oczywiście, że prawdziwa miłość od nas się dopiero na świecie zaczyna.

Najważniejszy ze stryjów był śpiewakiem. Kochaliśmy go nad życie, za to, że tak pięknie śpiewał i że nie jadł nigdy cukierków, ciastek ani tortów, bo miał cukrówkę.

— To znaczy, — jak powiedział mój ojciec, — za dużo cukru w ciele.

Często myśleliśmy nad tą sprawą. Czy ma mialki kryształ rozsypany w sobie, czy też w środku ciała całą głowę cukru, która jakoś ukradkiem wyrosła?...

I — jeżeliby ułamać naszego stryja w nocy, gdy śpi, czyby był słodki?

Drugi stryj był uczonym profesorem. Pracował w laboratorium. Zazdrościliśmy mu bardzo, że się tak świetnie bawi. Siedział zawsze z długą fajką wśród rurek, szklanek, najdziwniejszych przyrządów i pił piwo. Gdy się przychodziło, kazał patrzeć, jak się z rurki leje woda na wymyśloną naukowo, nieprzemakalną dachówkę, ustawioną w wanience.

Lała się na nią, jak mówił, bez litości, we dnie i w nocy.

Bywaliśmy tam często. Ojciec mój, palta nawet nie zdjawszy, podbiegał od razu do kurka, zakręcał i wołał:

— Bój się Boga, człowieku!

Babek i ciotek nie wyliczam. Wiadomo, jakie to długie i męczące. Dodać tylko muszę jedną młodą ciotkę i pozłacaną tacę, która stała pod lustrem. Obie będą później potrzebne. Wspomnieć też należy, że mieliśmy starego służącego Tomasza. Od-

znaczył się on w jednym ważnym wypadku mego życia.

Te wszystkie rzeczy wyżej wspomniane i ludzie, ściany i okna, dnie i święta, woda i słońce, deszcz i śnieg, — wszystko razem zapewne sprawiło, że nareszcie powstało coś, co do dzisiejszego dnia napenia mnie głębokim wzruszeniem i co, sądzę, z pokolenia na pokolenie w sercach ludzkich powstaje. Coś, co jest źródłem naszej wielkości na ziemi, a co ja miałem szczęście uczuć w małej swej piersi na podłodze naszego salonu, przed zaoszczędzonym kawałkiem czekoladowego tortu, w cieńniu morelowego krzesła.

Było to w zimie, wieczorem, podczas wizyty wielu różnych gości. Wiesz dobrze, co znaczy, gdy mają przyjść goście. Lata się wtedy po wszystkich pokojach, otwiera się drzwi przeciagowi, wisi się przy fartuchu kucharki, a potem w nowym ubraniu przewraca się kozły na środku miękkiego dywanu.

Nareszcie palą się wszystkie lampy, które trzeba okrążyć z daleka, a nad każdym stołem do kart mrugają cztery nowe świece.

Jest ogromna kolacja.

Potem wszyscy siedzą znów w salonie i śmieją się i mówią i opowiadają, aż gęsto się robi w powietrzu od światła i miłego hałasu.

Jestem przecież mały. Siedzę pod morelowym fotelem, przede mną na dywanie leży zaoszczędzony kawałek czekoladowego tortu, plotę warkocz z frendzli i chcę się cieszyć. Chcę mówić razem ze starszymi. Ale nikt na mnie nie czeka, bym mówił i nigdy nie wiem, kiedy ci wszyscy starsi śmiechem wybuchną. Z radości i z osamotnienia tyle, tyle na-

raz mógłbym i ja tu powiedzieć!

Dalej sobie opowiadają, nie ma w tym wszystkim dla mnie ani odrobiny miejsca. War gorących chęci przepelnia mi piersi, może wnet zaczęę płakać z tej samotności, nikt nie czeka, nie rozumie, że wszystkich tak kocham!

Wtedy nagle odsunęła się wewnątrz mego ciała ukryta, cicha, niewidzialna zasuwka. Wytrysnęły spod niej od razu inne od zwykłych, moje własne, kuse i długie, cienkie i okrągłe, dziwaczne słowa, którymi mówiłem bardzo długo do powyginanych sprężyn starego karła.

W języku ludzi dorosłych rzecz taka nazywa się *natchnieniem*. Tworzy ono wszelką potęgę człowieka, znikome sprawy umie czynić wiecznymi, przez tysiące lat przeży się w marmurach, nie ginie na przedartej stronicy i sprawia, że ludzie umarli przed tysiącami lat kierują dziś krokami małych dzieci. W moim języku nie nazywało się to wtedy natchnieniem, lecz innym słowem. Wyznaję je ze wstydem, tak jest śmieszne, głupie i tak mi bardzo drogie.

W moim języku nazywało się to — *Gujsztwakiem*.

Kto to był *Gujsztwak*? Czy też co?

Gdy mi się zdawało, że mówię coś, czego nie umiem wyrazić, a co mnie napelnia ogromną radością... Gdy mi się zdawało, że mówię to za kogoś stokroć ważniejszego ode mnie... Gdy mi się zdawało, że po prostu mówię za cały świat, — wtedy był *Gujsztwak*.

Może to wszystko jest w końcu trochę nudne. To nie, bądź cierpliwy, zwierzamci największymój sekret i tajemnicę. Gdybym miał ptaka czarodziej-

skiego, i gdyby od losów jego zależało całe moje życie, i gdybym go złożył w twoje ręce, — nie znałyby to chyba więcej, niż gdy ci teraz mówię o *Gujsztwaku*. Przekonasz się kiedyś o tym, gdy będziesz oglądał obrazy, które przez setki lat zachwycają znawców, gdy będziesz słuchał muzyki, która z oczu najszcześliwszych ludzi wyciska łzy, czy też, gdy będziesz podziwiał jakieś dzieła ogromne a wiecznotrwałe. Nie stworzy tych rzeczy człowiek nigdy, by się nagle w jego sercu nie odsunęła tajemnicza zasuwka, spod której tryskają słowa, za cały świat mówiące.

II

Jego historia

Wiesz o powstaniu *Gujsztwaka*, posłuchaj teraz dziwnej jego historii.

Długi czas gnieździł się wyłącznie pod fotelem, chrobocząc poufnie wśród sprężyn. Potem ośmielił się. Przemawiałem za niego do wszystkiego, co się cieszyło, czyli prawie do wszystkich rzeczy, z którymi wówczas miałem do czynienia.

Wielkie maskary Sukiennic, naprzeciw których mieszkaliśmy w Rynku, białymi kamiennymi ustami tyle z mych ust wyludziły *Gujsztwaka*. Rozkwitający bez na krakowskich plantach, gdyśmy szli z matką do babci na ciastka, każda kulka gazu wody sodowej z sokiem za dwa centy, jaskółki dokoła wieży Mariackiej po niebie latające, — wszystko wołało ciągle o słowa *gujsztwackiej* radości.

Z okien naszej kamienicy, która miała za patrona rzeźbę św. Floriana, polewającego w sieni kubel-

kiem podobiznę domu z ulepionymi na dachu płomieniami, patrzyłem całe popołudnie, jak wszystkiemu, co się dzieje, doradza właściwie — *Gujsztwak*. Zdało mi się, że moimi ustami skrycie nakuje, by koń przy tramwaju biegł równo pośród szyn i równo dzwonił dzwonkiem. By stary wozwoda szedł po wodę do studni przy małym kościele św. Wojciecha. By wskazówka na ratuszowej wieży sunęła statecznie, i by godziny dzięki temu mogły się dziać równo.

A gdy kucharka Filipina strącała żółtka w donicę, ukryty w mej piersi *Gujsztwak* mlaskał cicho wraz z nimi. A gdy je ucierała z masłem, ślizgał się w brózdach złocistego tłuszczu, świszcząc, syzcząc i gwizdząc z radości.

Więcej od masła, ciastek, wody sodowej, więcej od wszystkich legumin, — chyba najwięcej ze wszystkiego na świecie lubił *Gujsztwak* wojsko. Codziennie czekał cierpliwie pośród krat odwachu, któryśmy widzieli z naszych okien. Gdy nadchodziła zmiana warty, gdy już z rogu ulicy widać było czaka żołnierzy, wypuszczał ze straszliwym rykiem jedyne słowo, ze zwykłej mowy do *gujsztwackiej* przyjęte:

— Wojsko!!

Stawały naprzeciw siebie dwa oddziały. Tręba-cze trąbili. Oficerowie machali szablami. *Gujsztwak* szalał, stając się pokryjomu psem. Dlaczego psem? Dlatego, aby się z radości bić ogonem po bokach.

Jeden oddział odchodził, drugi spokojnie zostawał, potem żołnierz z cukierni ze Sukiennic przynosił oficerowi na tacy białe bułeczki z kawą.

Dałbym wówczas wszystkie pudełka zapalek całego świata, dałbym ukradzione i za piecem scho-

wane lusterko do puszczenia tęczy, dałbym wszystkie czerwone kartki niedziel i wielkich świąt, ukryte w ciemnym pudle maszyny do szycia, by jedną bodaj chwilę побыć z żołnierzami na odwachu.

Kim jest *Gujsztwak* naprawdę, dowiedziałem się pewnego dnia targowego, w słońcu, na kamiennym lwie, co stoi przy schodkach ratusza. Dnie targowe były w piątek i wtorek, kupowaliśmy wtedy mleko, jajka, ser, jarzyny i drób.

Kto lubi jajka zgrzytające w słomianym koszyku i biały ser na zielonym liściu, kto lubi świeży groszek strzelający perłowymi ziarnkami, ten wie, że pośród tupotu młodych, rudych ziemniaków, sypanych prędko z worka, wiele musiał mieć do gadania tajemniczy *Gujsztwak*.

Matka moja z piórkiem na małym kapeluszu szła dzielnie, śmiało naprzód. Wszyscy wiedzieli, że ma lekką rękę. Gdzie tylko raz co kupi, tam już targ pójdzie świetnie. Mój siostrzeniec mówi to samo dziś o swojej matce a mojej siostrze, dawniej bardzo nieznośnej dziewczynie. Tak już urządzone jest życie, że wszystkie kochane matki mają lekkie ręce, można by powiedzieć — ręce lżejsze od jaskółek i w ogóle najlżejsze na świecie.

Jużeśmy weszli między stragany, — zaraz będziemy kupowali. Cztery wiejskie baby w krochmalonych spódnicach, w kraciastych chustach, z koralami na szyi, jak pstre indyczki stoją pilnie na straży. Matka moja w pośrodku, niby mała pantarka obraca się uważnie.

Przezorny *Gujsztwak* milczy i nie jeszcze nikomu nie doradza. A gdy matka, smakując brzeżkiem wargi śmietaną, zmruży uniesione ku górze oczy i szuka nimi czegoś po pogodnym błękiecie, ja też

szukam na niebie spojrzaniem, jakby tam właśnie ze śmietany uleciał duch smakowitości. Nie ma go nigdzie w górze, tylko gruba maskara Sukiennic trzyma w białych wargach siny skrawek cienia.

Od śmietan, jajek, kur idzie się jeszcze dalej do beczek, trzepakczek i drewnianych wyrobów.

Ja mam tu trochę poczekać.

Nie czekam.

Pobiegłem schodami do tylnych drzwi ratusza, gdzie wartuje kamienny lew z utłuczonym nosem, z oczami jak czarne fajerki, i z zimną, nieumiecioną wodą w kabłąku zakrzywionego ogona. Na lwie tym siedząc okrakiem, waląc gołymi łydkami w jego twarde boki, szarpiąc grzywę, porośniętą mchem, w krzyku całego targu, w prędkim jazgocie bab, w miganiu pstrych kolorów, gdakaniu kaczek, gęgoleniu gęsi, pod namiotem przeczyszczonego nieba, nie mogłem nagle z radości wytrzymać i wrzasnąłem:

— *Gujstwak* jest królem świata!!

Mój król tak się wkrótce ze mną oswoił, że bardzo często nie już sobie ze mnie nie robił. Jak gdyby przenikał moje myśli i lepiej ode mnie wiedział, czego chcę.

Pierwsze poważne kłopoty miałem z nim w gimnazjum.

Nie cierpiał obcych języków, choć przecie sara był najdziwniejszym językiem na świecie. Znęcał się nad łaciną, poniewierał starą, dźwięczną greką. Koniugacjom, deklinacjom obcinał niemilosiernie ogony końcówek, a sam ogonem kamiennego lwa roztracał stopy homerowskiego heksametru, któregośmy się musieli uczyć po trzydzieści wierszy dziennie na pamięć.

Z całej nauki gimnazjalnej ukochał i za swoje uznał jedno tylko słowo, a mianowicie, gdy była mowa o Biblii Szarospatackiej, pomniku naszego piśmiennictwa. "Szarospatak" dla niebywałego dźwięku uznany został za wyrażenie *gujsztwackie*.

W czasach uniwersyteckich buntował się *Gujsztwak* jeszcze dokuczliwiej. Przekładaliśmy z oryginału Plauta, czy Sofoklesa, wywodziliśmy na tablicy rodowody rozmaitych słów od samego chyba Adama i Ewy. Natężałem wszystkie myśli, żeby, się cieszyć tymi rodowodami, ale mi *Gujsztwak* nie dawał, każąc pleść między wierszami rozmaite głupstwa.

To samo było przy nauce o człowieku. Mierzyliśmy szanowne szkielety przedpotopowych bestii, zwanych iguanodontami. Owszem, *Gujsztwak* godził się na samą nazwę, cieszył się nią nawet, ale z czcigodnych kości nic sobie nie robił. W drucianich przesłach tych potworów błyskał równie wesoło, jak ongiś w sprężynach morelowego fotela.

W tym czasie ostatni raz chyba kazał mi krzyczeć z radości. Było to, gdy zobaczyłem naprawdę wydrukowaną pierwszą moją książkę.

Jak dotąd, zawsze ja mówiłem za *Gujsztwaka*. Od czasu pierwszej mojej książki zamieniliśmy role.

On zaczął mówić za mnie...

III

Jego koniec

On zaczął mówić za mnie!

Pierwszy raz zdarzyło się to w lecie, w ogrodzie, gdym poznał przyszłą moją żonę. O tak, wte-

dy już napewno nie ja mówiłem, lecz on, mój tajemniczy druh. To on wtedy przez gęstwą zielonych gałęzi prawil tak cicho i niezrozumiale, że moja przyszła żona, nie rozumiejąc, śmiała się tylko, różowe ręce do góry uniósłszy.

Potem, po latach, nie mówił już prawie wcale, a tylko szeptał. Działo się to wielkiego czasu wojny. Między jedną wyprawą a drugą zapragnąłem raz jeszcze zobaczyć dom i mieszkanie, z którego się na świat patrzeć nauczyłem.

Minąwszy świętego Floriana, co w przedsionku naszego domu zawsze gasi rzeźbione płomienie, przyszedłem na to drugie piętro, starym ciemnym korytarzem, na lewo. Otwarli mi ludzie obcy, zdziwieni, lecz jak się później okazało życzliwi. Oto znów mijałem kochane pokoje, a gdzieś tylko stała, tam zaraz ściany tęnęły historią dawnych moich lat.

Tu nasz pokój dziecinny, tu jadalnia, tam sypialny, a w salonie?

W salonie, w kącie koło pieca, gdzie co rok drzewko Bożego Narodzenia stawało, teraz na białej rogoży leżały poukładane jabłka. Tak to właśnie wyglądało, jakby ze wszystkich wspomnień został tylko rumiany blask owoców.

Obcy państwo i ja trwaliśmy w milczeniu; na słomianej plecionce chwiały się z lekkim szelestem zimówki. Och, — brakło mi słów. Tylko w starej rogoży, jakby całkiem już cicho szeptał za mnie mój *Gujstwak*.

Potem, jeszcze później, po wojnie, w wielkiej jesieni zmartwychwstania ludów, nie mówił już i nie szeptał, — lecz płakał.

W listopadzie żołnierze wystąpili z koszar. Po-

słowie parlamentu wbiegli razem do sali ratusza. Na odwach wszedł oddział żołnierzy austriackich z białymi orłami na czapkach i oddział legionistów, otoczony tłumem radosnym. Z wieżyczek warty głównej wytknięto biało-czerwone sztandary i wszystkie kraty owiązano narodową barwą, niby pręty jakiegoś kosza szczęśliwości.

Takiego szczęścia od czasu, gdy m pomięte listy z kosza mego ojca wyciągał, — nie doznałem.

Byłem w tłumie na rynku i byłem nareszcie w tym pokoju oficera na odwachu. Słuchałem wszystkich mów, razem ze wszystkimi wznosiłem szczęśliwe, niby z kajdan uwolnione ręce.

Następnego ranka, w targowy dzień, parada się miała odbyć nowych oddziałów polskich i uroczysta przysięga. Więc znów biegliśmy na Rynek, ale już nie z moją matką; na przodzie generał, ja o dwa kroki z tyłu, prosto na kosze, indyki, kury, masło, baby i kamiennego lwa.

Od Floriańskiej ulicy maszerował cały nasz batalion, a tu generał krzyczy:

— Miejsce dla batalionu — rozgoń mi te baby!
— Uprzątnąć mi to zaraz!

Biore szablę pod pachę, w ciężkich butach przyspieszam po nierównym bruku, wołam coś srogo do kur, bab, chłopów, indyczek, kaczek, gęsi i do wszystkich barw i zarazem do wszystkich hałasów najwcześniejszego dzieciństwa, ale nie widzę dobrze... W oczach mi się wszystko rozplywa... Kto płakał? chyba *on*, za mnie i za wszystkich — mój tajemniczy przyjaciel.

Gdyśmy się rozchodzili, biła jakaś godzina, — nie wiem która. Już nie dojrzę wskazówek zegara, a tylko słyszę dźwięk. Myślę, że za to z okna,

z którego niegdyś na ten Rynek patrzyłem, wygląda znowu na nas jakiś inny chłopczyk. Że zazdrości nam, jak swego czasu zazdrościłem oficerowi, któremu żołnierz niósł kawę w białych kubkach z cukierni.

Gdy odchodzimy, zjawiają się zapewne na naszych miejscach ci, którzy dotąd patrzyli tylko na nas. I sądzę, że dopiero dzięki nim możemy nareszcie zobaczyć to, co się dotąd w wirze czynnego życia ukrywało poniekąd przed naszym wzrokiem. Tak też i ja w końcu dzięki komuś nowemu zobaczyłem własnymi oczami mego tajemniczego przyjaciela.

Było to w zimie, rano, w mrocznym, miejskim pokoju. Czekałem pod ścianą, co wreszcie powie nasz doktor. Pomyśleć, że mój ojciec był też doktorem, że też ktoś tak czekał kiedyś na niego z biciem serca, co powie...

— Ma pan syna, panie kapitanie, — powiedział doktor.

Wtedy zobaczyłem *Gujstwaka* na jawie, żywego, od stóp do głowy. Zjawił się w jednym błysku sekundy, zajmując całą przestrzeń pokoju. Tak, to był on, cały on, utkany ze wszystkich moich wspomnień. Na głowie miał włosy sino - brązowe, pokręcone, niby sprężyny morelowego fotela. Czoło z szarego kamienia, jak uśmiechnięta maskara Sukiennic. W oczach obracały mu się świeże, błyszczące żółtka. Brodę miał ze złotych sopli gęstej, kwaśnej śmietany, kamizelę z piórek pantarki, a spodnie z nieprzemakalnych dachówek mego stryja.

Siedzenie wylatane było wielką stronią Biblii Szarospatackiej.

Widziałem *go* chyba nie dłużej, niż jedną setną

sekundy. Pamiętam tylko, że się walnął kamiennym ogonem z całej siły w brzuch i głos nawet nie wydawszy, znikł.

Sądzę, że pękł z radości. Teraz go już nigdy nie słyszę, ani rano, ani wieczorem, ani na wizycie, ani nawet przy obiedzie z ulubioną zupą rakową. A przecież śmiało można o nim powiedzieć, jak o tym wuju-strzelcu, że „przepadał za wszystkimi porami jedzenia”.

Cóż się więc stało? Przypuszczam, że zastąpił teraz *Gujsztwaka* mój syn malutki.

On teraz gada niepojętą mową, — wybacz, czytelniku, że po raz ostatni użyję tego dziwnego przymiotnika, — mową *gujsztwacką*. Gada słowami, które się nigdy nie kończą i zawsze właściwie nie znaczą. To syn mój teraz przecie wykreśla ścieżkę w donicy poprzez zółtka, którymi tak serdecznie patrzył na mnie ostatni raz mój stary, dobry *Gujsztwak*.

Zapewne już wnet dozna mój syn pierwszych uroków pamięci. Na razie nie jeszcze nie wie, ale z pewnością, choć tego nie widzimy, gromadzi się już w nim zasób przyszłych myśli i uczynków.

Sądzę, że już nie zadługo otworzy się w małym sercu mojego syna przedziwna zasuwka, nie wiadomo tylko co zza niej na świat wyskoczy? Jeżeli jednak ja z tajemniczego przyjaciela, który był duszą mojego dzieciństwa, niewiele więcej w życiu wykrzesalem, niż to zawile opowiadanie, — wierzę, że syn mój zrobi o tyle więcej ode mnie, o ile bardziej go kocham od samego siebie. Mój syn z wami pójdzie przez życie. My, starsi, będziemy was podziwiali, siedząc już wtedy pod oknem na spłowiałych morelowych fotelach.

SKARBONKA

(Rozprawa o miłości i oszczędności zakończona wnioskiem)

I

Wstęp naukowy

Mój pierwszy, własny pieniądz zobaczyłem w objęciach matki, rano, nad wodą, oczyma płaczem zalanymi.

Zdarzenie to uważam za bardzo ważne. Mieć do czynienia z pieniędzmi, choć trochę rozumieć ich istotę, — to jakby obcować z duchami, lub zacząć naprawdę rozumieć skąd się wzięło morze i dlaczego tak a nie inaczej posuwa swe fale w przestrzeni. Przypuszczam nawet, że łatwiejby było odgadnąć konieczność i ład poruchu największych oceanów, niż siłę pieniądza. Życie bowiem oceanu nigdy chyba nie jest w sprzeczności z prawami przyrody, pieniądze natomiast, z rozumu i uczucia ludzkiego powstałe, niejednokrotnie niszczą człowieka silniej, niż najgorsza zaraza.

Każdy z nas zastanawia się w życiu, czy je mieć, czy ich nie mieć, czy z nimi poczynać, czy bez nich, czy nawet przeciw nim?

Starsi twierdzą, że przychodzi to dopiero we właściwym czasie i że przedtem my mali wolni jesteśmy od powyższych kłopotów. Twierdzą, że się mylą, że nawet gdy chcą ukryć przed nami swe położenie pieniężne, wychodzi ono na jaw. My mali bierzemy w nim udział od samego początku niedoświadczonej pamięci.

Pamiętamy wybornie, kiedy w domu szło wszystko dobrze, a kiedy nie szło. Dobre czasy poznawało się przecie natychmiast po wesołym uśmiechu starszych, żywej serdeczności, z jaką gościli przyjaciół i po różnych niespodziankach, które się raz po raz zjawiały.

Czasy złe wyglądają zupełnie inaczej. Wszystko jest wtedy jakby mrozem objęte, w pokojach tyle ciszy, po ciemnych kątach tyle samotnego myślenia.

Mówić, że mali tego nie rozumieją, to nie znać się na niczym.

W takich ciężkich chwilach naszego domu cierpiałem z pewnością nie mniej od Hannibala, który się z trudem kosztów za słonie wyprawy punickiej dorachowywał, czy od króla Batorego pod Pskowem, w puste dno kalety bijącego. Z tą tylko różnicą, że gdy oni ku rozweseleniu mieli nadwornych błaznów, ja, ty i zapewne każdy z nas małych, własną zabawą próbował starszych rozerwać w ich ciężkich czasach.

Któż z nas nie pamięta tych głośnych i za szumnych min, nie dla siebie, lecz na pokaz robionych?

Któż z nas nie pamięta więzjących w gardle łez, gdy zabawa samotnie brzęczała, a nikt ze starszych nie podniósł się do niej znad biurka i nie zbliżył...

Tak, tak, — od najmniejszej młodości musisz sobie radzić z pieniądzem. Ja się z nim też od

pierwszych chwil pamięci swej porałem, — tu opowiadam jak. A mówię nie dlatego, iżby wydarzenie było osobliwe, lecz że od wtedy aż do dziś ani w tej sprawie zmądrzał, anim nowe poglądy, czy korzyści uzyskał.

Słowem, że stoję na tym samym miejscu, z którego radbym, by mnie sąd czytelnika choć o krck naprzód ruszył.

II

Rzecz właściwa

Mój pierwszy, własny pieniądz ujrzałem oczyma pełnymi łez w śpiesznych objęciach matki. Było to w parku krakowskim, podczas nauki pływania.

Nauka pływania odbywała się w ten sposób, że doświadczeni instruktorzy - żołnierze brali uczące się panie jakby na ogromne wędy, zrobione z dużego drąga i grubego sznura, zakończonego pasem. Na wędach tych rzucone w wodę, podobne do pajaców w kraciastych bluzach i bufiastych spodniach, pływały panie dookoła stawu, wyrzucając na komendę rękami i nogami.

Matka moja uczyła się nie na wodzie, lecz w korytarzu drewnianych łazienek na włóchatym dużym materacu. Tam „na niby” rozgarniała powietrze, podczas gdy my z bratem pływaliśmy po obu stronach na podłodze.

Aż tu dziś rano przyszedł żołnierz i wziął mamę od razu na wędkę. Przyczepiona haczykiem do pasa zesłała sobie ze schodów. Nie głęboko, najwyżej po kolana.

Widzę ją dotąd wzrokiem mej pamięci, choć

tyle lat minęło i teraz patrzę na dęby za oknem moim wyrosłe, nie zaś na brzozy białopienne, szumiące wtedy ponad stawem. Widzę ją dotąd, — stoi w niebieskim kapturku, który odbija się w wodzie między smugami zieleni. Ręce już zamaczała, mówi coś do mnie, z palców spływają krople białe, jak iskry.

Aż raptem, — chlust do wody. Sznur wielkiej wędy naprężył się od razu. Odbicie drzew zielonych pomieszało się z niebieską wodą, w której pływała sobie moja matka, białe sierpy fali ramionami i nogami odpychając. Zapłakałem straszliwie, pewien, że jej już nigdy nie zobaczę, że tonie, że ją nam żołnierz zabiera. To też, mimo, że był w niebieskiej, mundurowej bluzie, biłem go pięściami, szarpałem i darłem za spodnie.

Zabulgotało na całym stawie. Z różnych stron przyplływać jeły ku nam panie w różowych kostiumach. Żołnierz natychmiast przyciągnął matkę do schodów. Pamiętam, jak dziś, że kucnąwszy, wzięła mnie w śpieszne, mokre, wodą spływające objęcia. Poszliśmy do kabiny po torebkę z chustką do nosa. Plakałem jeszcze przy poręczy stawu. Panie stały dokoła. Na koniec matka wyjęła z torebki mały pularesik i dała mi na pociechę nowiutkiego centa.

— Całego, prawdziwego, nowego centa, — krzyknęły panie razem.

Był rzeczywiście nowy. W słońcu błyszczał. Po rzeźbionej jego jedyńce spłóziło się światło do góry i w dół. Trzymałem go w ręce, pilnując końca wędy, na której znowu odbywało się pływanie.

Cent zaczął się pocić. Od mocnego uścisku tak mi się grzała dłoń, że musiałem miedziaka przekładać z ręki do ręki, by mi się nie wyslizgnał.

Gdyśmy wrócili do domu i siedli do obiadu, cent poszedł razem ze mną do stołu. Leżał wiernie przed moim talerzem na białym obrusie. Leżał i świecił.

Ojciec, wysłuchawszy całego wypadku, powiedział po zupie:

—Więc nagle, ni stąd, ni zowąd, masz całego centa?!

Zarumieniłem się z dumy.

— Pierwszy to raz chyba zdarza się na świecie — mówił ojciec, — żeby taki mały chłopiec miał już swoje własne pieniądze! Będziemy się musieli nad tym p o w a ż n i e n a r a d z i ć .

Narada odbyła się po obiedzie na bujaku. Prowadził ją wskazujący palec ojca, rozumnie nad nosem uniesiony. Okazało się, że sprawa bynajmniej nie jest tak prosta, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Mój cent mógł kupić cukierków z sokiem, — za centa. Mógł kupić dla mnie tureckiego miodu, — za centa. Albo śliwkę cukrzaną na patyku. Albo figę. Albo makagigę.

Nie spodziewałem się, że jestem tak bogaty.

Można było też za niego dostać różnych "stałych" przedmiotów.

— Trwalsze to o wiele od jedzenia. Bo cóż? Zjesz i zapomnisz. A przedmiot nie przeminie i będzie trwać dla ciebie.

Za centa można mieć farbkę żółtą, białą, zieloną, cielistą, granatową. Karmin niestety kosztował już dwa. Można też dostać nici, co prawda kiepskich, ale zawsze nici.

Z tego wszystkiego wynikło nareszcie, że można centa wydać od razu na jedzenie, czy też na jakiś przedmiot, albo można go schować i zaoszczędzić, — żeby sobie rósł...

Nie rozumiem, jak będzie rósł? Któreży?! Wierzyłem wówczas, że jedyną rzeczą, która naprawdę może rósć, jest chleb świętojański. Chleb świętojański rósł, bo miał pestki. Pestki zasadzało się w ziemię i po kilku dniach wypuszczały białe korzonki. Cent nie miał pestek.

Wątpliwości te szybko obalił mój ojciec. Cent wyrośnie, — niech tylko ma spokój, ciemno, ciepło i niech nie będzie sam. Nie może mu się nudzić!

— Gdzież cent może mieć spokój, ciemno i gdzie się może nie nudzić?

Uznałem, że pod dywanem. Ojciec uważał, że nie, że miejsce takie czeka na mego centa w skarbonce.

— Jeżeli go nie wydasz, — powiedział z namaszczaniem, — a postanowisz zaoszczędzić. W skarbonce sobie wypocznie, potem się zagrzeje, inne centy a może nawet guldeny zaczną go namawiać, żeby się raczył pocić. Choć my, ludzie, nie będziemy tego widzieli, cent po ciemku zacznie się pocić, grubieć, aż z jednego zrobią się dwa, trzy, cztery, pięć, dziewięć. Może dziesięć? Wtedy stanie się nikłowy. Nikłowy wysiedzi srebrny. Srebrny wysiedzi już cały wielki placek, to znaczy guldena.

— Ale potem, dalej, nic się już nie da wysiedzieć?

— Potem, gulden, — przewidywał ojciec, — jak dobrze zasiądzie, dobrze się zastanowi, może wygrzeje dukata?!

— Za sto lat?!

— To zależy od tego, czy mu się nie będzie nudziło.

— A co cent wysiedzi za miesiąc?

— Za miesiąc już może tak zgrubieć, że się z

niego dwa zrobią. Wtedy już będzie można kupić karminu. A po kilku miesiącach może kilka karminów?...

Tłumaczenie to trafiło mi od razu do przekonania. Widziałem przed sobą dwie drogi: Drogę rozkoszy, gdybym sobie kupił cukierków, lub drogę rozsądku, jeżeli centa schowam do skarbonki.

A tu jeszcze do tego ta skarbonka!

Stała zawsze na biurku, obok kałamarza, przy kościanym sztylcie. Grzechotały w niej srebrne guldeny, szeleściły papierki, były tam podobno także złote sztuki, ale były i zwykłe „proste” centy.

— Posłuchaj, — zawołał ojciec, wstrząsając mi skarbonką nad uchem, — drobne szemranie tuż przy ścianie, słyszysz?... Takie niecierpliwe. Mały pieniądzom zawsze się tak śpieszy, — jak dzieciom.

Skarbonka była z wypalanej gliny, prawie tak duża, jak ludzka głowa. Miała nawet wszystkie ozdoby głowy: z tyłu włosy, z przodu twarz uśmiechnięta, nadzwyczaj podobną do subiekta, który na dole, w naszej kamienicy, w sklepie norymberskim sprzedawał zawsze nici.

Zawsze, bo ile razy przyszliśmy tam z matką, on właśnie dawał wszystko.

Był zupełnie podobny do naszej skarbonki. Taki sam rozdziałek, takie same żółte, błyszczące czoło, czarne brwi, oczy pilnie przed siebie utkwione, ta sama łatka światła na ziemniakowatym nosie, usta czerwone, grube, od ucha do ucha, z czarną szparą pomiędzy zębami.

Nazywał się Zimler, jak skarbonka, którą rodzice również nazywali Zimlerem.

— Jeżeli ci naprawdę o to chodzi, — zakończył przemowę ojciec, — możesz swemu centowi pomóc

i w inny sposób. Wszyscy rozsądni ludzie tak właśnie robią. Cent będzie się mnożył w skarbonce, a ty mu z zewnątrz dopomożesz pracą. Wtedy wszystko pójdzie o wiele prędzej.

Matka nigdy się nie godziła na ów gatunek pracy, za który nam wówczas poczytywano łapanie moli. W danym jednak wypadku ojciec bardzo popierał ten rodzaj zarobku.

— Więc, jak uważasz, synu?

— A więc, — odpowiedziałem, — schowam! Tego centa schowam.

Wrzucenie centa odbyło się dość uroczyście. Musiałem z biurka przynieść grzechoczącego pieniądza mi Zimlera, spokojnie postawić go na stoliku od kawy. Ojciec na wszelki wypadek radził mi raz jeszcze namyślić się. Krzyknąłem zapalczywie, że to już niepotrzebne.

Nie było potrzebne. W moich myślach, w sercu kipiało całe mrowie przyszłych, nowych centów, nad którymi w oddali jakichś prędkich stu lat świecił, niby słońce, — okrągły dukacik.

Tymczasem Zimler wciąż czekał obok niebieskiej filiżanki. Na nosie błyszczała mu ta sama łatka światła, między wargami czernił się gęsty cień, nęcąc i ciągnąc niejako centa mego do środka.

— A więc? — zawołał ojciec z palcem wzniesionym do góry.

Rzuciłem miedziaka jednym śmiałym ruchem, Zimler go połknął najspokojniej w świecie.

Muszę od razu zaznaczyć: gliniany Zimler, którym przedtem nieraz poniewieraliśmy, którego tyle razy w wyprawie do niezbadanych źródeł świętej rzeki tulaliśmy po dywanowym Nilu, wydał mi się teraz szanowniejszym, ważniejszym a równocześnie

słabszym i jakby bardziej kruchym. Bo teraz w jego środku, mając ciepło, ciemno, leżał i chyba od razu się poccił mój przyszły karmin, może scyzoryk, może nawet piórnik, — mój nowy miedziany cent!

— Czy już urósł trochę? — pytałem po chwili.

Na drugi dzień rano pobiegłem co żywo zajrzeć w twarde oczy skarbonki. Byłem bowiem pewien, że już przybyć tam trochę musiało. Przybyło centowi, — może tylko niewidoczny dla wzroku paseczek, ale napewno przybyło.

Ludzie mówią, że oszczędność pobudza pracę. Jest to słuszne. Słowa ojca mego wcale nie poszły na marne. Pocącemu się w środku centowi zacząłem pomagać z zewnątrz. Prowadziłem teraz po całych dniach wielkie polowania na mole. Za szafą, pod stołem, w naszej dzieciarni, we wszystkich okolicach dywanu.

Była to praca ciężka i niebezpieczna. Ciężka, niebezpieczna a najeżona tylu prawnymi trudnościami.

Ponieważ wiele razy nadużywaliśmy zaufania ojca, który sumiennie płacił pół centa za dwadzieścia moli (za dwadzieścia, bo do więcej nie umiałem być wtedy jeszcze rachować), przeto mól zabity „nie liczył się”, o ile ktoś poważniejszy nie poświadczył jego śmierci.

Jakże tu znaleźć tego poważniejszego? Brat za brata świadczyć nie mógł, jako stronny.

Kobiety nie były dobrymi świadkami. Matka pogardzała naszą krwawą pracą, kucharka Filipina nie chciała się nawet ruszyć z kuchni, odpowiadając niezmiennie, że świadek dostaje — w to, co wiesz.

Pozostawał więc tylko stary służący Tomasz.

Przyznać trzeba że, był świadkiem poważnym, prawdomównym. Posiadał cnoty, które oblekały go jakby rządową surowością. Służył kiedyś w wojsku, nosił bokobrody. Był dzięki nim podobny do cesarza. Gdyby świadczył na przykład, że widział, — na trochę, na małą ociupinkę, jakby sam cesarz świadczył. Nawet, gdy świadczył, że nie widział, podobieństwo do cesarza nie zmieniało się wcale!

Ublagać Tomasza na świadka było rzeczą niezmiernie trudną, gdyż polowanie przeszkadzało zawsze sprzątanui.

— Mole ci tylko w głowie, — odpowiadał na prośby, jeżdżąc szybkimi szczotkami tam i z powrotem po posadzce.

Z powodu niechęci Tomasza praca moja nie odnosiła pożądanych wyników. Zabijałem, zabijałem, nie mając z tego żadnej prawie korzyści.

Nie dziwota, że w tych tak ciężkich czasach nieraz zazdrościłem naszemu Zimlerowi. Czyś nie byłoby lepiej być po prostu skarbonką?! Muszę gonić, szukać za kanapą, dłubać w grubych sprężynach foteli, — Zimler z wesołą łatką światła na nosie śmieje się spokojnie pomiędzy kałamarzem a kościanym sztyletem! Ja się pocę, trudzę, a w nim dlatego, że jest ciemno, ciepło, — centy same się mnożą i grubieją.

Na co wtedy chciałem zbierać tyle pieniędzy?... Nie wiem, tak samo, jak sędzę, iż najbogatsi ludzie nie wiedzą nigdy, gdzie to właściwie chcą, by ich bogactwa wiodły i prowadziły. Cel moich marzeń ciągle się zmieniał, może właśnie dlatego, że go zawsze obliczałem w centach. Raz chcę biednemu druciarzowi uskładać na buty. Potem chcę uciulać na kolej nakręcaną. Potem na wielkie pa-

pierowe pudło dużych ciastek z kremem. Potem na hełm strażacki. Ale cóż? Jedno po drugim, buty, ciastka, kolej, jakby się łuszczyć zaczynały centami, rozdawając, potrając, — póki się znów z tego nie usypała jedna wielka kupa nowych, gładziutkich centów.

Za tę kupę centów wszystko można kupić prócz jednej rzeczy! Prócz ślicznej małej tacy, uwitej ze złotych kwiatów, która stoi w salonie pod lustrem.

— Dlaczego jej kupić nie można?

— Bo nie można, — odpowiedziała matka.

— Ale dlaczego?

— Bo to jest nasza dawna, stara pamiątka.

Bębniłem w nią palcami, próbowałem smaku. Śniła mi się po nocach. Już nawet udawałem, że jest moja, ale naprawdę udać się nie dało.

— Dlaczego nie można jej kupić?

— Bo nie wszystko na świecie jest do kupienia, — odburknęła matka, rozczesując przed lustrem swe piękne, długie włosy.

— Ale gdybym uzbierał naprawdę dużo pieniędzy?

— Nie uzbierasz.

I oto na tej właśnie drodze chciwości i pożądania doszedłem do prawdziwej zbrodni, a potem nad smutną, czarną przepaść prawdziwej katastrofy. Zbrodnia była bezkrwawa, lecz dotąd w sercu blizny po niej noszę, katastrofa zaś jakże żałosna!

Było to akurat po imieninach naszego katechety. Poszliśmy do niego na Mały Rynek w nowych ubraniach z białymi krawatami pod szyją, prowadzeni przez dzielnego Tomasza. Na Małym

Rynku, na drugim piętrze, w niskich pokojach na rogu piliśmy słodkie wino, klerycy w drzwiach śpiewali, a gdy się zmierzło, pokazał nam ksiądz wszechświat.

Była to kula z granatowego szkła, usiana paciorkami, dokoła wątlym pasmem srebra przepasana. W środku, niby maluśkie rozżarzone serce płonęło nikle światło.

— Otóż to światło w środku, — mówił katecheta, — to właśnie ziemia nasza, paciorki będą gwiazdy, a tu jest droga mleczna z planet, białych jak mleko.

Wszyscyśmy ucichli, gwiazdy zaczęły się kręcić, pas drogi mlecznej jechał wolno w górę a ze środka kuli wypłynęła cicha muzyczka.

— Ile taki wszechświat kosztuje? — wykrzyknąłem z zapałem.

Ksiądz mnie pocałował i, wyszorowawszy szorstkimi policzkami, odpowiedział z dumą:

— Kosztował, mój synu, chyba całego dukata.

Wszechświat ten nakręcało się małym złotym kluczykiem.

— Jeżeli ja nakręcę kluczykiem, to jakiegoż kluczyka, — uczył nas katecheta, — używać musi Pan Bóg, by codziennie na noc i na rano nakręcić gwiazdy, słońce i wszystkie księżycy?!

Nie kupiłbym wszechświata, bo to się złamać mogło a nakręcanie nie było takie proste. Ale żeby można choćby za dukata dostać naszą tacę?! Dla niej przecież właściwie odbywały się wszystkie polowania, dla niej musiał się pocić w skarbonce mój miedziak. Gdyśmy wrócili z imienin katechety, opowiedzieli o wszechświecie i o wszystkim, jak było, oświadczyłem, że chcę mieć dukata, by

„sobie kupić jedną rzecz”.

— Jaką rzecz? — spytała matka, kołysząc się na bujaku.

— Taceę.

— Tacy nie można kupić. To pamiątka. Nasza pamiątka, twoich rodziców, twego ojca i matki.

— Za całego dukata!

— Nie chodzi wcale o pieniądze. Taca jest pamiątką naszej młodości.

— Ale dukat jest złoty!

— Tymczasem taca ta jest tylko pozłacana,
— zauważył niecierpliwie ojciec.

Z chciwości ślina mi napłynęła do ust. — Duk
kat jest złoty, — krzyknąłem.

Matka zaczęła się śmiać. — Wszystko jedno,
czy złoty, nie sprzedamy ci przecież tacy. Wsty
dzilibyś się na pewno kupować cokolwiek od wła
snych rodziców.

— W takim razie, — pamiętam, że gdym to
mówił, szarpnęło się coś we mnie, jakby zwier
dziki skoczył z miejsca na miejsce, — w takim ra
zie zaczekam. Wezmę ją sobie, jak umrzecie.

Matka zatrzymała bujaka. Nikt nie nie odpo
wiedział. Popatrzywszy ogromnymi oczami, spy
tała po chwili:

— Jak umrzemy?

Ojciec wstał, przeszedł parę razy po salonie,
powtarzając raz po raz, — ho,-ho,-ho. Ho,-ho,-ho.
— Po czym stanąwszy na środku dywanu, zawo
łał:

— Kto wie, za dukata możebym ci sprzedał?...
Ale czy potrafisz czekać tak cierpliwie? Ileż lat
będzie musiał grubieć twój mały cent, by wysie
dzieć złotego dukata? Pomyśl tylko sam.

Musiałem o tym myśleć naprawdę sam, jemu się ani śniło martwić — Zimlerowi. Stał spokojnie na biurku, przez otwarte drzwi salonu widać było łatkę światła na nosie i cień w szparze uśmiechniętych ust. Jakby to wcale nie o niego chodziło.

— Tak, za dukata, — powtórzył ojciec, — sprzedalbym może tę tacę, kto wie?

Któż więc wyobrazić sobie zdoła moją radość, gdy po kilku tygodniach nadszedł mój dzień imienin i gdy dostałem od ojca prawdziwego dukata.

Oto śliczny ranek kwietniowy, oto nad Rynkiem niebo czyste, błękitne i lekkie, jakby od lada powiewu zerwać się miało, by wyżej gdzieś jeszcze polecieć. Oto ubieram się prędko a wszystkie sęki podłogi mrugają do mnie spękaną źrenicą. Oto idę „jakby nigdy nie” do pokoju rodziców tymczasem każdy mój krok huczy imieninami.

Rodzice siedzą pod oknem, piją kawę z niebieskich filiżanek. Za nimi, w głębi na rynku wszystkie białe maskary Sukiennic śmieją się uroczyście. Matka zmrużyła powieki i patrzy, — jak mówiliśmy wtedy, — swoim wzrokiem dalekim.

Objęliśmy się mocno, widzę tuż przed sobą dobre, kochane twarze, czuję na plecach ramiona imieninowego uścisku. Stoję jeszcze przy stole aż tu ojciec strzepuje z serwetki na obrus dukata!

Złoty krążek cichutko zadzwonił, przebiegł między solniczką a masłem i spoczął grzecznie na brzegu serwety.

— To dla ciebie na imieniny, — ojciec pocałował mnie w czoło, — zrobisz z nim, co ci się będzie podobało.

Ucieszyłem się *szalenie!* Tylko to jedno słowo

odtworzyć zdoła taką radość.

— Namysł się, co zrobisz. Możesz przede wszystkim, skoroś tak bardzo chciał, kupić od nas tacę. Będzie nam przykro rozstawać się z tak miłą pamiątką, ale jeżeli nam dasz zarobić całego dukata?... Bądź co bądź taca jest tylko pozłacana...

Słuchałem niespokojnie.

— Możesz także, — znów palec wskazujący zaczął prowadzić naradę, — nie nie kupować. Po prostu mieć złotą monetę dla własnej zabawy. Oczywiście, nie wolno nawet dukata brać do ust. Ale możesz się nim bawić. Obawiałbym się w tym wypadku tylko jednego: że go zgubisz. Możesz go też oddać Zimlerowi? Jak miedzianego centa. Dukaty w cieple, w cichości, w towarzystwie innych pieniędzy zacznie się pocić, grubieć i kto wie, czy drugiego nie wysiedzi? Cóż ty na to?

Słuchałem z prawdziwą niechęcią. Gdzieś daleko pod spodem mego szczęścia czułem już nawet pewną złość do ojca. Przeszkadzał mi tymi radami. Gdy się nareszcie przemowa skończyła, poszedłem cieszyć się pod fotel. Dukaty leżały sam jeden na wielkim, aksamitnym siedzeniu, a ja, na przeciw niego, cieszyłem się, tyle jednak równocześnie trosk przeżywając!

Czy mógłbym zgubić dukaty? Taki przedmiot pamięta się i trzyma mocno w garści. Czy go oddać za tacę? Cienka, pozłacana... Takie marne głupstwo służy jako pamiątka. Powinni byli mieć pamiątkę złotą. Nie kupię już karminów. Po cóż mi aż tyle?

Może schować dukaty do Zimlera?... I wtedy poraziła mą duszę ta myśl ohydna: jeżeli dukaty wysiedzi drugiego, — ojciec mi go już nie odda!

Nikt nie pozwoli, bym miał od razu dwie złote monety!

Nie było wcale radości pod fotelem. Za to gdy pokazałem starszemu bratu! Błagał, bym mu dał dukata choć na chwilę potrzymać. Kazałem długo błagać a potem nie dałem. Pozwoliłem tylko patrzeć i to bardzo krótko.

— Przecież ci nie ubędzie.

Odpowiedziałem, że właśnie ubędzie.

— Ubędzie, — krzyknął ze złośliwym triumfem, — bo i tak w końcu zgubisz.

Ale za to gdy pokazałem starej Filipinie?! Aż się zatrzęsła z gniewu.

A Tomasz?

— Możesz sobie, — powiedział, zawiesić teraz na kołku swoje polowania; za dwa lata tego byś nie wyrobił.

Przypatrzył się nabożnie dukatowi, spróbował go na zębie i, wruszywszy ramionami:

— Tylko widzisz, że co? Że ty go zgubisz zaraz.

Wszyscy się bali, że zgubię i wszyscy mi od razu coś innego radzili. Radzili co mam zrobić, że mi się w głowie od tych rad męciło. To, tamto i dwudzieste.

— Może już zgubiłeś, — ucieszył się wuj Gucio, który przyszedł na obiad. — Zaręczam ci, żeś zgubił!

Krew uderzyła mi do głowy. Nie miałem dukata w rękach, nie leżał nigdzie, nie było go w kieszeniach. Rzuciłem się na Gucia z pięściami. Gucia, którego zawsze tak bardzo kochaliśmy, obszukałem skwapliwie, wyrzucając mu portfel, szczoteczkę do wąsów, ołówkę i notes na podłogę.

— Rewidujesz mnie, — mówił, śmiejąc się wy-

niośle, — jak prawdziwego złoczyńcę.

Plakałem „na cały dom”. Tymczasem dukat się znalazł. Był! Owinięty w płócienko leżał w kieszeni na piersiach. Przy wszystkich świadkach znalazł go Guccio u mnie

— Sam go przecież zawijałeś w gałganek.

Prawda!

Ojciec pokiwał głową, rzuciłem się Gucciu na szyję a odzyskanego dukata pocałowałem w prawą stronę z rycerzem.

— Widzisz, już go całujesz, — zauważył ojciec, — a mówiłem, żeby nie dotykać ustami. Pieniądze nigdy nie są całkiem czyste.

Poszliśmy na obiad.

Obiad składał się z najulubieńszych moich potraw: — Zupa grochowa z sucharkami. Kotlety z buraczkami. Ryż ze śmietaną i z konfiturami.

Ale czy mogłem jeść? Nie mogłem. Guccio był coraz bardziej pewien, że *go* zgubię.

— Jeżeli już w przeciągu paru godzin zaszedł taki wypadek, jak dziś przed obiadem, to mi wolno przypuszczać, że za kilka dni dukat znajdzie się *po prostu* na dnie Wisły.

Ojciec nie widział tych wszystkich spraw aż tak czarno, był jednak ciągle za powierzeniem dukata Zimlerowi. Oczywiście, jeżeli *przypadkiem* nie zechcę sobie kupić drogiej moim rodzicom pamiątki, to znaczy tej świetnej tacy, która czeka cierpliwie pod lustrem.

Z jak podstępny naciskiem powiedział słowo „świetnej”. Miałem na niej stracić połowę dukata!

Tak przeszedł cały obiad. Pili sobie jeszcze czarną kawę, nam pozwolono już wstać.

Starszy brat nie chciał teraz wcale ani błagać,

ani chociażby tylko, „żeby razem być”. Siedziałem sam pod bujakiem i patrzyłem, jak ojciec miesza kawę łyżeczką. Patrzyłem na niego z ukrytą nienawiścią. Oddać dukata teraz do skarbonki, żeby go nigdy więcej nie zobaczyć?...

Poszedłem do drugiego pokoju naradzić się z samym Zimlerem. Ale Zimler, — jak Zimler. Łatka światła błyszczała mu na nosie, oczy patrzyły prosto na odbitkę Grunwaldu Matejki, w głębi warg uśmiechniętych ciągnął się gęsty cień. Tam za tym cieniem jest ciepło, ciemno, cicho, tam się pieniądz nie nudzi i rośnie!

Śmiać się znów z czegoś zaczęli wszyscy przy czarnej kawie. Nie wiem dlaczego, wziąłem wtedy dukata i bez chwili namysłu jednym mocnym łykiem połknąłem.

Sam sobie będę skarbonką!! I kto teraz powędruje na dno Wisły? Chciałem to przede wszystkim „za karę” powiedzieć Guciovi. Ciągłe rozmawiał, nie można było zacząć. Dopiero, gdy wychodził, w samych drzwiach przedpokoju: — Żebyś wiedział, Guciu, nie ciesz się, dukat jest tu!!

Przy tym wypiąłem brzuch.

— Co?! — krzyknął Gucio.

— Teraz mu będzie dobrze, — rzekł poważnie Tomasz, wyprostowany w drzwiach.

Gucio odłożył kapelusz, laskę, rękawiczki, wziął mnie za rękę i, wołając przez wszystkie pokoje, — połknął, połknął, — zawrócił do ojca.

— Wyobraź sobie, — rzekł, — twój syn połknął dukata.

Matka zerwała się z krzesła. Ojciec popatrzył na mnie, podniósł w górę brwi, wysunął z nich groź-

nie na pokój palec wskazujący i wyrzekł jedno krótkie słowo:

— Rycynus!

Matka pobięła do szafki, zawołała na Tomasza o piwo, nawet jeszcze zdążyła na dnie filiżanki z czarną kawą przygotować „kanarka”. Ale ojciec stanowczo:

— Żadnych piw. Żadnych kanarków. Zwykły goły rycynus. Goły!!

Rycynus pod dowództwem samego ojca, bez słowa litości, bez udziału, pomocy, obietnic i uśmiechów matki, rycynus do wypicia ze szklanki, gdy nikt człowiekowi dziurek od nosa miłosiernie nie ściśnie. Goły rycynus, zakończony spokojnymi słowami:

— Usta sobie wytrzesz cytryną.

Usta sobie wytarłem cytryną i czekałem w pokoju ojca, płacząc gorzko.

Po przeszło dwóch godzinach, mierzonych na zegarku, wszyscy zostali wezwani do sprawy. Wszyscy, których mą pychą z chciwości płynącą upokorzyłem w ciągu tego dnia. Wszyscy, prócz kobiet.

— Prócz twojej biednej matki, przed którą zapewne zginałbyś ze wstydu. Prócz starej Filipiny, której siwe włosy zasługują na należny szacunek. — Powiedziawszy to, dodał ojciec, w ostatniej niejako chwili, jeden zwięzły wykrzyknik: — Ha, trudno!!

Gucio siedział na krześle z kapeluszem, laską, rękawiczkami w rękach, stroskany Tomasz, przygotowawszy niewybredne instrumentarium, potrzebne po zażyciu rycynusu, ponuro się ode mnie odwracał. Mój starszy brat, na biurku taca i we-

soły Zimler, — byli wszyscy.

Z moich biednych wnętrzności wypadł nareszcie imieninowy dukat.

— Oto koniec chciwości, — rzekł ojciec, — prawdziwie nędzny koniec.

— Że nawet szkoda, proszę łaski pana, — stwierdził godnie Tomasz.

Wszystkie okna mieszkania szeroko otwarto, jak po wielkim nieszczęściu. Wszyscy się ze mną znowu pogodzili i wszyscy obiecali nie mówić nigdy więcej o dukacie.

W parę tygodni po tym smutnym wypadku, pewnego wieczora, gdy słońce zachodziło za ratuszową wieżą, złocąc kamienne listwy brunatnych Sukiennic i gdy jaskółki latały, jak zwykle, szerokim, głośnym wieńcem wokoło wianuszka Mariackiej wieży, zawołał nas ojciec do siebie. Siedział przy biurku. W jednej ręce trzymał lśniąca głowę Zimlera, w drugiej kościany sztylet.

Matka z wesołym uśmiechem huśtała się cicho na bujaku.

— Otóż, moi chłopcy, — ojciec zwrócił się do mnie, — widzieliście, że cały rok odkładałem do tej glinianej pałki tak zwane oszczędności. To znaczy, wszystko, co zostawało mi z zarobku po opędzeniu kosztów na życie całego naszego domu. Możeby istotnie było dobrze odkładać tak z roku na rok. Ty wiesz przecie, — tu znów przemyślnie zwrócił się tylko do mnie, — jak bardzo lubią pieniądze swoje własne towarzystwo. Przypuszczam, że odkładając tak, zapewnilibyśmy sobie starość a wam spokojne i wygodne studia.

Odwrócił Zimlera twarzą w stronę biurka i przesuwał sztyletem między uśmiechniętymi war-

gami skarbonki, jał wyciągać poszczególne monety.

— Ale, moi kochani chłopcy, o to właśnie chodzi, że ta pałka, ten Zimler, stojąc tu na biurku i czekając na moje oszczędności, najniepotrzebniej w świecie przypomina mi rzeczy, o których nikt z przyjemnością nie myśli. Starość nie jest wcale znów tak arcymiłą rzeczą. Bynajmniej się też nie śpieszę do tego, byście prędko mieli wyrastać z wieku, w którym, co prawda zaledwie jako tako, ale przecież można sobie jeszcze z wami dać radę.

— I dlatego, — przez słowa te leciał coraz bystrzejszy deszcz srebrnych pieniędzy, — postanowiłem wypompować z pana Zimlera wszystko. Za to, co pan Zimler raczył przechowywać przez cały rok, postanowiłem zrobić nam, waszym rodzicom, jakąś przyjemność.

Po tym wstępie trzasnął ojciec rączką sztyletu w rzeźbiony rozdziałek Zimlera. Głowa się rozleciała, w skorupach zaszeleściły papiery a ojciec z okrzykiem „co za ulga”, — prawił dalej:

— Jakąś przyjemność. Mianowicie postanowiliśmy odbyć podróż. Wy będziecie przez całe lato u babci. Matka wasza, która nigdy dotąd zagranicą nie była, zobaczy szeroki świat i odetchnie trochę innym powietrzem.

— Tak, tak, mój stary durniu, — kończył nasz ojciec przemówienie, nie wiadomo, czy do siebie, czy do skorup Zimlera kierując wesołe choć obraźliwe słowa:

— A mój cent? — krzyknąłem stroskany.

— Twój cent? No więc jak to, nie widzisz?! — Ojciec wybrał z kupki dużą, niklową monetę i podał mi ją uprzejmie. — Patrz, co wysiedział twój cent. Doskonała rzecz taki nikiel, choć przyznam ci

się otwarcie, że wolałem twojego dukata. Kto wie, czy jemu właśnie nie zawdzięcza teraz Zimler swego fatalnego końca. Moglibyście sobie podać ręce, Zimler z pewnością nie czuje się lepiej, niż ty po rycynusie.

Rodzice wyjechali w szeroki świat, odetchnąć trochę innym powietrzem, — myśmy lato spędzili na wsi u babki, nikłową monetę oddałem do schowania Tomaszowi.

Na jesieni spotkaliśmy się w Krakowie w naszym przez tyle miesięcy zapomnianym mieszkaniu. Na stole już czekały nakręcone pociągi, ojciec miał nowy płaszcz w kolorową kratę, nowe trzewiki skrzypiące po zagranicznemu a matka suknię, która się mieniła trzema kolorami.

— Patrzcie tylko, — wołał głośno ojciec, — jak się wybornie spisał ten nasz poczciwy Zimler? Wszystko — on. On — pociągi. On — suknię mieniącą. On — dalekie tyrolskie góry.

On góry, on — przezyste, zimne jeziora, do których matka wrzucała cukierki, patrząc i widząc, jak osiadają między kamykami.

Byliśmy szczęśliwi, ja się tak bardzo cieszyłem, że pobiegłem zaraz do naszego Tomasza, by mi oddał mój pieniądz nikłowy. Ale u Tomasza nie umiała niczego wysiedzieć błyszcząca nikłówka. Zapewne dlatego, że był biedny, — nie miała towarzysztwa.

To nie!

Wziąłem ją i choć nigdy dotąd do sklepu nie chodziłem sam, zleciałem na dół do naszej kamienicy, gdzie był sklep norymberski.

Żeby z radości kupić dla matki najlepszych nici
D. M. C.

Gdy mnie ogarnął ścisk tyłu pań nieznanych, gdy podszedł do mnie prawdziwy Zimler z łatką światła na nosie, z cieniem w szerokich ustach i z metrem, sterczącym w kieszeni, — zapomniałem, czego chcę.

Gdy mi nareszcie Zimler zawinał te nici, okazało się, że nie mam nikłówki. Wyślizgnęła się widocznie ze spoconych palców, może się gdzieś pod ladę zatoczyła?

— Nikt tu kawalerowi, — rzekł uprzejmie pan Zimler, — tej nikłówki nie zje. Jeśli tylko znajdziemy, zaraz odesłemy na górę.

Ale nie odesłali, wcale nie znaleźli, może dotąd tam leży, gdzieś w starym, ciemnym sklepie. Gdybym ją miał, możeby mi wrócił dawny prosty sposób porania się z pieniędzmi. A tak, jakby na zawsze coś się już przerwało i ciągle stoję na tym samym miejscu.

III

Wniosek

Ani siebie nie umiem osądzić, ani starszych, ani nawet własnych rodziców.

Czy dobrze się stało, że nie czekali, by im glińiany Zimler zbierał grosze na starość?

Nie trzeba niczego ukrywać, każdy z naszych bliskich wie przecież, że w końcu przyszła kiedyś taka jesień i ciemny, głuchy dzień, w którym wszystko sprzedać trzeba było i nasz fortepian i meble i nawet pozłacaną pamiątkę młodości, tę starą cienką tacę, co tak cierpliwie czekała pod lustrem.

A co do mnie samego? Nie powinienem skrywać, że się wcale nie dorobiłem. Jestem raczej biedny, niż bogaty, pieniędzy trzymać nie umiałem, „Zimlera” u siebie w domu nigdy nie zaprowadziłem.

Czy pieniędzy szanować nie umiem dlatego, że chciwość moją kiedyś tak srogo ukarano, czy że za ostatnią nikłówkę zaraz dary kupować pragnąłem?... Sądzę, że nie dlatego, ani dla tamtego, lecz, — tu odgadniemy pewną tajemnicę:

Nie umiem szanować pieniędzy, bom pierwszego centa dostałem za skarby, złotym i brylantowym majątkiem nawet nie kupione, za łyzy miłości i największego na świecie przywiązania.

Tak, tak, przez całe życie grosza doliczyć się nie mogę. Zgoda na to, zgoda. Ale myślę, że może dlatego całe życie pamiętam objęcie matczyne, świeżą wodą poranku spływające. Sądzę, że właśnie owa pamięć wróży mi ciągle jeszcze jak najlepszą przyszłość.

A Zimler? Jak to Zimler. Uśmiecha się w najróżniejszych miejscach najróżniejszych krajów, zza każdej lady nęci gęstym cieniem, skrytym w szeroko rozciągniętych ustach.

IDA ŚWIĘTA!

Pytam się, gdzie jesteś, stary Kubo, nosiwodo? Cały dzień przed Bożym Narodzeniem, pod kościołem świętego Wojciecha, naprzeciw zmarzniętych Sukiennie toczyłeś ze studni wodę, która brylantowym łukiem wpadała do głuchych konewek. Słyszeliśmy, jak srebrną pletwą bryzgów chlapiąc po czarnych schodach, szedłeś opieszale, a potem szumne strugi chlustałeś w wielką kadź, za kuchnią w ciemnej sieni.

A potem siedziałeś brodaty, siwy, omszały i dukałeś piętami w malowane na komodzie Filipiny kwiaty. I oddychałeś tak mądrze, tak troskliwie!

Mój starszy brat wiedział na pewno, że podobny jesteś do Pana Boga i że gdybyś chciał, mógłbyś zostać ojcem całego świata, — tak byłeś stary.

Pytam się, gdzie jesteś czcigodna Filipino, perło wszystkich kucharek?

Czy jeszcze pracują twoje znakomite dłonie, czy umieją jeszcze tak klepać wymieszane ciasto, jak wtedy gdyśmy byli dziećmi, — iż smak od tego klepania rozplywał się w powietrzu? Czy twoje usta, strzeżone jedynym lecz samodzielnym zębem, umieją jeszcze wypowiedzieć słowo „cebulka” tak,

by od tego w całej kuchni klasnęło? Czy drukowanym świętym na niebie twego kufra nie zawróciło się w głowie od słodkiego zapachu małych rajskich jabłuszek?

Ciemny, czcigodny kufrze Filipiny, czy pamiętasz wszystkie gładkie wstążki, któreśmy na twoich sznurowanych piętrach tyle razy głaskali?

Czy przekładana politurowanymi obrazkami książka do modlenia śpi jeszcze w okutym rogu skrzyni, obok ciężkiego sznura wielkich jak bób koralu?

Pytam się, gdzie jesteś śniegu owoczesny, i gdzie jesteście wy, sosnowe lasy pod Sukiennicami i wy, godni sprzedawcy w tabaczkowych kozuchach, tłukący się od zimna po wypchanych, jak pierzyny, ramionach, w sinym obłoku mrozu?

I pytam, czy między wami, — pniami, drzewami, długimi gałęziami potrafi jeszcze sam jeden, samusieńki płatek świeżego śniegu przelatać wolno z zielonej igły na drugą igłę zieloną, podczas gdy z ratusza bije dwanaście razy samo południe.

Pytam się, czyś został na świecie wielmożny kwadracie posadzki, z którego późnym wieczorem wykwitnie nasze drzewko?

Czy potraficie jeszcze o tym myśleć wy, stare, morelowym aksamitem obciążone fotele? I kto wam teraz plecie niecierpliwie warkocze z długich kosmatych frendzli?

Kto pod fortepianem chowa się zabiegliwie i nasłuchuje tajemnych kroków anioła?

Dla kogo milczą teraz białe, zamknięte drzwi i kto z nich zmazać usiłuje smugę lakierowanego połysku, — by potem stał się cud? Pytam, gdzie odszedł dzwonek, pytlujący pośpiesznie u drzwi?

Gdzie płynie teraz radość naszych serc i komu teraz świecą niebieskie oczy mego ojca? I kto pamięta skronie mojej matki, oplecione małymi żyłkami?

Gdzie jesteś drogie, świeże, do samego wnętrza roześmiane powietrze naszego salonu? Czy życie wszystkie małe świeczki? Czerwony gil z lepkiego marcypanu jedz na gałęzi swoją złotą kulkę! Nie schodź z lukrowanej drabiny czekoladowy kominarzu. Niech wiewiórka z prawdziwym włosiem jeszcze jedną chwilę zaczeka pod gwiazdami!

Wy, ołowiani Afgańczycy, biegnący pod drzewkiem z kindziałem w zębach radośnie naprzeciw sokołów! Wy, kosynierzy, stojący razem z Turkami, pularesie, w którym jest przegródka i cudna gro w Halnę!

Robinzonie w czerwonej okładce i Chato Wuja Toma! Scyzoryku, uśmiechnięty wszystkimi ostrzami i pociągu z kościelną trocizką, zapaloną na blaszanym kominie!

Szalony śmiech, od którego uszy mi płoną, od którego siadam na ziemi, od którego całe koło radości obraca mi się w piersiach! Ty wszystko, całe moje szczęście, czekajże jedną chwilę, oto już cię oddaję! Jeszczeście odejść nie zdążyły wszystkie moje uciechy dzieciństwa, gdy już nie on, mój ojciec, ale ja sam tu stoję w długich spodniach i tak już dawno dorosły, z kluczykami, dzwoniącymi w kieszeni, na środku salonu ja teraz dary rozdaję, a ktoś inny, malutki, do ziemi ze szczęścia przysiadł — dla niego szaleje powietrze i śmiechem ściany przenika!

Nim znowu ja odejdę, a on, — już znów dorosły, z kluczykami na środku zostanie...

Dla czegoś wszystkiego, trudnego, kochanego, ważnego, obcego, swojego, na zawsze jedyne dajcie mi, dzieci, wasze małe ciepłe, aż gorące palce. Siądziemy do białych klawiszy, na czarne nie spojrzymy i razem trafnie, zgodnie wystukamy za Kubę, Filipinę, za gila, za wiewiórkę, za wszystkich naszych ojców, już nie pamiętanych i za nas, wąską ścieżką pamięci idących, i za ciebie, mój synku, — byś rósł i zakwitał... Wystukamy tę samą krótką pieśń, — ty długie, wielkie szczęście!

GROBLA

(O podejrzeniu, winie, karze, krzywdzie i przebaczeniu, — na końcu wie czytelnik wszystko i sam sądzi).

Mam to na wieki wyrysowane w sercu i zawsze czuję woń akacji, zmieszaną z szumem ogromnych topoli, gdy tę scenę wspominam:

Minęliśmy wrota, z lewej strony za rowem widać długie gumna. Matka mruży oczy, przygarnia nas rękami, z których kolejno wylatują na skórzane poduszki zawiniątka i paczki. Konie dudnią po murawie a powóz, wjechawszy z kamienistej szosy na trawę, sunie, jak po aksamicie. Mijamy biały dwór, błyszczący czarnymi szybami. Z ganeczku, który iskrzy się w złotawych pędach dzikiego wina, śpiesznie machają do nas białe chusteczki.

Jedziemy w koło klombu, konie zakręcają tak szybko, że aż nam powietrza przybywa nagle w piersiach. Jan w granatowym płaszczu z żółtymi guzikami i w gumowym kaszkiecie trzasnął z bata trzy razy. Mama nas trzyma, nie może wymachiwać, kiwa tylko głową i śmieje się cichą, do płaczu podobną radością.

Już ich widać wszystkich przed werandą. Bab-

cia z brodawką pod nosem, z drugiej strony Gucio w białych wyprasowanych spodniach, w środku, otoczona siwym wałeczkiem włosów, nasza prababka, z żółtą laską w ręku.

Śmieją się wszyscy razem.

Mama była malutka, ale wobec prababki okazała się jeszcze wielkoludem.

Wszyscy pilnują paczek, które wyciąga się z wozu i kładzie na ceglanych schodach.

Mama wita się z prababką.

— Moja najstarsza wnuczka, — mówi staruszka cieniutkim „papierzanym” głosem.

Prababka ginie w objęciach naszej mamy. Prawie nie widać jej starej kapoty spod zielonych jedwabnych rękawów matczynej bluzki. I, — czy pan Drożdż wysłał furę po rzeczy, bo nie byłoby dzieci na czym spać położyć?

— Jeszcze dla prawnuków znajdzie się tu miejsce. — Pożyłowaną ręką klepie mamę lekko po policzku. Mama przymyka oczy. Stoją razem, pod rękę. Mama ogarnia nagle prababkę jednym objęciem ramienia, jak któregoś z nas. Po prostu jak małe dziecko.

Obie razem patrzą. Od gumien przez klomb, aż ku białym gwoździkom pod okna, machnęły się jednym wielkim łukiem dwie jaskółki, a potem, że tylko zgrzytnęło powietrze, wzbiły się aż ponad szczyt topoli.

— Czy to już będzie wszystko? — zawołał z kozła Jan.

Gucio powiedział, że wszystko, konie się poderwały, poszły, został na murawie granatowy odcisk głuchych kół powozu.

Chcieliśmy zaraz lecieć za Janem. Widzieć, jak

będzie zdejmował szory. Jak wypręganie siwki. Chlustać wiadrami na zakurzone szprychy. Lecieć i siadać na okutym dyszlu. Lecieć do stajni. Lecieć i z ludźmi windować wiadra przy studni. Wygonić kaczki ze stawu. Lecieć do kucharki i rzucać łupy do zaparzonych obieżyn. Latać boso po ogrodzie. I lecieć za panem Drożdżem do pola.

Wszędzie lecieć, lecieć i lecieć!

— Ja to również od razu widzę, że sobie tutaj z nimi rady nie dam, — westchnęła matka pod koniec podwieczorku.

— Tere fere, — odpowiedziała na to prababka. Dam ci do nich, no, tę... Poczciwa dziewczyna, krzywdy dzieciom nie robi. Marcysię!

Postanowiono zapytać w tej sprawie Drożdża, a tu właśnie pan Drożdż przyjechał z naszą furą. Góra rzeczy owiązana sznurami mało się trzy razy po drodze ze wszystkim nie wysypała. Na grobli bali się, że z wodą popłyną, teraz koniska spokojnie wywijają ogonami, a uczepiony do kozła wierzchowiec broczył pianą spod popręga.

Polecieliśmy wachać go, słuchać jak chrzęści prawdziwe siodło skórzane i suwać palcami po strzemionach.

Aż tu ode drzwi potężny głos ryknął niespodzianie:

— Idźcież mi od konia, chłopaki, bo lignie jeszcze którego!

To pan ekonom Drożdż tak wołał. Nie stał, nie siedział, tylko sobie był wsparty na wielkiej lasce w cieniu dzikiego wina. Obeszliśmy go ze wszystkich stron, od razu rozumiejąc, że to wielka władza i że nigdy nie da się z nim żyć na przyjacielskiej stopie. Wielki czarny notes sterczał mu z bia-

lej bluzy, z butów wisiał skórzany bat i chlastał o cholewy. Wytknięte zza ucha cygaro rzucało cień na brew szeroką, jak kłos.

Gdy pan Drożdż wstał, okazało się, że jest po prostu olbrzymem. Czerwonymi łapskami wyciągnął z ziemi swą lachę, zakończoną straszliwym śpikulcem. Pogroził nam, śmiejąc się głośno, aż konie uszami zastrzygły. Potem ją wbił, coś chrobotnęło w rączce i oto z pałaczką zrobiło się siedzenie, na które siadł, sapnąwszy głośno.

Nie mówił nic, — myśmy też jednego słowa pisać nie śmieli. Dopiero gdy przyszła prababka z matką, zaczął huczeć. Bluza mu się rozděła od nadmiaru głosu. Czegós tam na stacji wydać nie chcieli, bo się kartka odlepiła i dopiero wydali, gdy się dowiedzieli.

Ręce miał ogromne, czerwone jak raki. Jeszcze nimi wytrząsał. Mama, zrobiwszy pewien miłosierny ruch ustami, przerwała, pytając, czy by się niejaka Marcysia nadała do nas, do nadzoru nad dziećmi?

Pan Drożdż łypnął w naszą stronę przekrwionymi białkami, chrząknął i spytał:

— Do tych chłopców?

— Tak, do naszych chłopców.

— Marcysia? Ta od gęsi?

— Tak, Marcysia od gęsi.

— Ano, proszę pani, — wyrzucił w górę ramiona, jak do rąbania drzewa, — możeby się i ta nadała. Krzywdy nie robi, ale wiadoma rzecz, złodziej dziewczucha, na ręce trza wciąż patrzeć.

Popatrzyliśmy nie na ręce, lecz za spojrzeniem matki na prababkę. Utkwiwszy białe oczy w czerwonych ślepiach Drożdża, spytała nasza prababka:

— A komuż to no wsi nie trza patrzeć na ręce, panie Drożdź?

Obejrzał się po oknach, dachu, wielkich mechach na goncie rozsiadłych, nawet o spłoszone listki topoli zawadził spojrzeniem i wreszcie zamiast odpowiedzi huknął na furmana:

— Długo tak będziesz czekał zlitowania bożego?!

Fornal podciał siwki, fura z jękiem przejechała pod oficynę, za nią dwóch parobków, jeden prosty, drugi kuternoga.

— Ten kuternoga, Kuba, — tłumaczył pan Drożdź, — mają się pobrać, z Marcysią, będzie zaraz po żniwach. Krzywdy ta nie robi, ale złodziej dziewczucha.

— Wielkie rzeczy! Wszyscyście tu złodzieje, — zachnęła się prababka niecierpliwie.

Na to pan Drożdź do naszej matki, — że pani starsza zawsze tak, aby tylko ugryźć człowieka, aby ugryźć, aby ugryźć. Nadziwić się nie mogąc temu gryzieniu, poszedł ścieżką ku różom na klombie i wrzasnął przeraźliwie:

— Marcysia!!

Wyleciała zza węgła na stopach płaskich, niby gęś, z rękami obabranymi grubym razowym ciastem. Pan Drożdź niegoloną brodą wskazał dziewczynie naszą matkę, która zrobiła malutki, miłośnierny ruch ustami, — ale już było za późno. Marcysia jakby się z samej siebie wyrwała naprzód, przypadłszy pokornie do ziemi.

— Nie trzeba, nie trzeba! Co robisz?!

Wreszcie zaczęły rozmowę o myciu, pilnowaniu, czesaniu i, — żeby zawsze na porę było wszystko. Patrzyliśmy na naszą przyszlą opiekunkę z bez-

granicznym lekceważeniem. Pachniało od niej zimną wonią szuwaru i sadzawki.

Ciągle spuszczała oczy, pan Drożdż później mówił, — tak jej latają, bo szelma wie, że jej źle z oczu patrzy.

Nie umiała nawet powtórzyć naszych imion. Zaczęliśmy wypinać brzuchy, co oznaczało pogardę. Nareszcie omijając ostrożnie krzesła i stolki, pocałowała w rękę kolejno prababkę, matkę, pana Drożdża, cykając głośno ustami, jakby miała w nich ukryty mały dzwoneczek. I poszła.

Jeżeli się mówi, że ktoś jest u kogoś na dobrym, czy łaskawym chlebie, to chleb, na którym była u nas Marcysia, choć z masłem, miodem i nieraz z konfiturami, — nie był ani dobrym, ani łaskawym. Nic tu nie pomogła nauka, po wyjściu Marcysi wszystkim nam razem od razu udzielona, że dziewczyna z ludu jest takim samym człowiekiem, jak wszyscy inni i że tak samo szanować ją wypada. Nic nie odpowiedzieliśmy w oczy, ale na osobności!

Tego samego wieczora, po kolacji pokazaliśmy Marcysi, że wcale nie jest takim samym człowiekiem. Jużesmy leżeli w łózkach, już nam matka powiedziała śpijcie dobrze i wyszła, ostatnim pocałunkiem w czoło obowiązek i prawo nocy ustanawiając. Już dawno wielki księżyc wisiał między splezonymi liśćmi na pustym bladym niebie a Marcysia czuwała przy otwartym oknie, — gdy ukradkiem podniósł się z pościeli najstarszy brat Irzek i syknawszy złodziejka, — upadł na poduszki.

On, potem ja, potem jeszcze najmłodszy.

Marcysia nie, — cisza nocna idzie przez mgły dalej.

Psy zaszczekały w stronie stawu, jakiś okropny

bas odpowiedział im aż do drugiej wsi. Jeszcze kilka razy cyknął świerszcz za piecem.

Daliśmy sobie znak szuraniem prześcieradel i gdy stróż nocny zatrafił na rogu za oborą, my znów jeden za drugim — złodziejka, — złodziejka, — złodziejka.

Marcysia nic.

Marcysia ciągle nic.

My znowu, coraz częściej. Skoro sam Drożdź tak mówił... Sykaliśmy coraz mocniej i głośniej, aż z tego wszystkiego zaczęła sobie cicho śpiewać. Śpiew był cichy, nieśmiały.

W małym kwadracie otwartego okna między dwiema srebrnymi różgami ogromnych topoli siedziała bez ruchu, zawodząc cicho i tak cienko, żeśmy zaraz zasnęli.

Za pomocą słowa złodziejka można było doskonale rządzić Marcysią. Wystarczyło nawet powiedzieć tylko złodzie... —i już była posłuszna. Mogliśmy więc robić przy niej wszystko, co się nam podobało. Jedliśmy marchew i kalarepę prosto z grzędy. Zielone, kwaśne jak ocet zimówki prosto z drzewa. Dymiący chleb razowy prosto z pieca. Ciepłe mleko ze szkopka, prosto od krowy. Mieszaliśmy paluchami w wielkich, żelaznych garach, nastawionych w piwnicy na śmietanę. Kradliśmy świeże gomółki. Tuczyliśmy gęsi, wpychając im do gardła po dwie kluski naraz. Strzelaliśmy do kaczek, pływających po stawie. Smażyliśmy w kociołku gąsienice na powidła. Ścinałliśmy pokrzywy naszymi drewnianymi jataganami, choć pan Drożdź krzyczał o to a Marcysia na jego widok bladła śmiertelnie. Kapaliśmy się sami w Wisłę.

Czy masz wśród pierwszych wspomnień swoich

jaką rzekę? Ja mam Wisłę! Ona to, ona, czysta wstęga błękitna płynie przez wszystkie myśli mojego dzieciństwa, jako wieczna kokarda radości trwa dotąd w znikomym moim życiu i ile razy szczęście jakieś na swej drodze spotykam, tyle razy, jakobym widział źródła mego losu, z niebieską falą po społu płynące!

Kąпалиśmy się sami w Wiśle, lataliśmy w wiklinach, tarzaliśmy się w piachu a kiedy nam już zęby z zimna szczękały i Marcysia gnała nas do domu, dość było powiedzieć tylko złodzie... — by znowu kąpać się godzinę.

Przed wszystkim zaś chodziliśmy do narzeczonego Marcysi, Kuby i do byka, Maćka. Siedzieliśmy u byka, jak długo się nam podobało.

Byk był królem całej stajni, mieszkał osobno za przegrodą, w najmilszym chłodku, w świeżej słomie po brzuch. Maść miał, jak niebo na burzę, białą w czarne łaty. Nie słuchał się nikogo, prócz Kuby. Kuba mówił, że się ten byk Drożdża, ani nawet naszego ojca, pana doktora, za żadne pieniądze nie posłucha.

— Wolisz mnie, Maciek, wolisz? — śmiał się Kuba do byka.

Maciek zwracał w bok szerokie, czarne czoło, widłami rogów zakończone i wypuściwszy z białych nozdrzy potężny dech, od którego muchy „wariowały” w żłobie, patrzył na nas mokrymi ślepiami.

— Posłuchasz się mnie, Maciek, posłuchasz?

Ciężki łańcuch, przewleczony przez nozdrza, dzwonił groźnie, ogon bił w prawo, w lewo. Kuba, nad głupim Maćkiem cały pan, wchodził z nami do klatki i posadziwszy wszystkich trzech na sze-

rokiem grzbiecie, skrobał byka pazurami za uszy!
— Ślepią ci ma, — śmiała się Marcysia, — że rany boskie!

— Ślepią ma ogromne, — cieszył się Kuba, — a ja go bęc po pysku.

Walił w pysk, Marcysia śmiała się za kratą, a myśmy zamierali na grzbiecie ze strachu i z radości.

Jazda na byku i kąpiel w wiklinach za groblą to były dwa największe nasze szczęścia.

Ach, ta kąpiel w wiklinach! Dotąd pamiętam na wysokiej grobli krzak kwitnącego głogu. W jego chwiejnym cieniu siedzieliśmy gromadką i tu nas chłodził miękki wiatr od rzeki. Tu słuchaliśmy sto razy ze śmiechem i przerażeniem, — jak nas jeszcze nie było na świecie a ojciec był dopiero narzeczonym i po egzaminach jechał tędy, tą groblą, aby powiedzieć, że już wszystko zdał i zaraz będzie ślub. Jechał między dwiema wodami w czasie ogromnej powodzi.

— Do mnie i do was, choć was jeszcze na świecie nie było, jechał tędy między dwiema wodami sam jeden. Kiedy się spotkali z wysłanym z dworu Janem, wyminąć się nie mogli. A ja tu na nich czekałam przy tym krzaku, od południa aż do ciemnej nocy, — śmiała się nasza matka, kołysząc gałęziami.

Stąd patrzyliśmy często na drugi brzeg Wisły, od którego, — jak mówiła — krajało się jej serce.

W pośrodku rzeki była granica. Tam już chodziły po polach wielkie wojska rosyjskie a na małych koniach uganiiali straszliwi kozacy.

Tędy po tym wale pędziliśmy na sam brzeg, żeby ich płoszyć chorągiewkami polskimi. Ale oni

szli przez rozległe pola w ogromnych rzędach nie-
raz całe pół dnia. Odziani w białe bruzy, śpiewali
obce swoje pieśni, a matka nasza, patrząc spod
cienistego głogu, mówiła z przerażeniem:

— Bez końca. Żywy łan. Mój Boże, — żywy łan.

Czy mógł się ktoś spodziewać, że właśnie pod
tym krzakiem, w cieniu którego tyle zazналиśmy do-
broci i słodyczy, wydarzy się nieszczęście?! Niesz-
częście w dniu najradośniejszym, w wilię imienin
mojej matki?

Rano, jak zwykle cały ostatni tydzień, posz-
liśmy do prababki przepowiedzieć imieninowe
wiersze i dostać za to po łyżce konfitur z berbery-
su. Potem zbieraliśmy maliny, od czasu do czasu
przykładając uszy do ziemi, czy powóz już nie
jedzie?

Powóz z ojcem.

— Nie może jeszcze dudnić, — śmiała się z
nas matka, — zbierajcie tylko dalej. Ale sama też
nadsluchiwała, bo nikt godzin przyjazdu dobrze
nie pamiętał, a stary Jan jechał tylko „na oko”.

Nie przyjechali rano, nie przyjechali w obiad.
Teraz możliwe jeszcze tylko wieczorem. Więc po-
szliśmy się kąpać, my z chorągiewkami, mama z
książką, Marcysia na końcu z tobołem prześciera-
deł. Rzeczy złożyliśmy pod krzaczkiem. Wszyscy
pamiętamy, że mama zdjęła swoje dwa pierścion-
ki, mówiąc do Marcysi:

— Masz i uważaj. Najlepiej włoż na palec. Tu
są dwa pierścionki.

Pamiętamy, bośmy przecież wtedy oglądali z
wielkim śmiechem białą obrączkę skóry pozostałą
na maminy palcu.

Zaprawdę pamiętamy, gdyż to wydarzenie leży

na zawsze w naszych sercach. Ono nas pouczyło o niepewności wszelkich ludzkich sądów, o skarbach prawdy w sumieniu zawartych i o tym, że nie masz nigdy pomiędzy ludźmi sprawiedliwości, jak tylko w przebaczeniu.

Marcysia została pod głogowym krzakiem, przy rzeczach, mama w kąpielowym kostiumie czytała książkę na brzegu wikliny, myśmy z chorągiewkami poszli daleko w wodę puszczać z piaszczystych łysin kaczki i grozić kozakom, zwłaszcza, że ich wcale nie było na drugim brzegu.

Widać tam było drogi rozkręcone, gdzieniegdzie chałupę z malutkimi oknami w zachód słońca wpatrzoną. Śliczny wieczór lśnił wszędzie na niebie, pod szuwarem, wikliny kładł granatowy cień, a na wodzie w płytkich falach osiadał listewkami fioletu.

Rzucamy kaczki, z chorągiewkami śpiewamy w środku wody o Kościuszcze, Kilińskim, — gdy nagle zza wzgórzka wydyma się jakby muszla piaszczysta. Wydyma się, wydyma, — wiatr ją rozmiótł pomiędzy zbożami. Gdy opadła, ukazało się naszym zdumionym oczom kilku jeźdźców. Jechali z dużymi dzidami prosto drogą, śpiewali coś swojego. My na to jeszcze głośniej nasze o Kilińskim.

Przyjechali już prawie nad brzeg. Na małych konikach myszkują tędy, siędy. Już słyhać, jak im woda pod kopytami pluszcze.

Stoimy i machamy lancami. Wjechali w wodę, słyhać doskonale, jak włochate konie syrpią gładką falę. Jeszcze mocniej machamy sztandarami, aż tu Marcysia z tyłu jak nie wrzaśnie! Trzymając się za głowę, zbiegła po grobli do wsi. Na to kozacy, już goli, hyc na konie i w wodę. Z początku

płyną po głębinie, — robi się coraz płycej, — srebrne grzebinie tryskają już spod kopyt, nad głowami śmigają nahaje.

Przestaliśmy śpiewać, krzyczymy wniebogłosy. Już przed nami uganiają straszni, goli, wrzeszczący, póki nas matka nie dopadła i nie objęła razem. Patrzy na kozaków i krzyczy, aż jej żyła niebieska występuje na szyi i grozi im wikliną, — goley zaś szczerzą zęby...

Mama nie daje kroku w tył, ani kroku w przód i tylko głośno dyszy...

Dopiero kiedy na grobli rozległ się gruby głos pana Drożdża! Z drugiej strony jak wylecą żniwiarze, z Kubą na samym czele! A Gucio w zaprasowanych spodniach, w kapeluszu, od razu jak nie hycnie w wodę!

Kozacy ze śmiechem uciekli. Musieliśmy długo siedzieć pod krzakiem i czekać, aż się mama wypłacze. Gdyśmy się ubrali, okazało się, że nie ma jednego pierścionka. Jak Marcysia leciała do wsi po pana Drożdża były jeszcze dwa.

Zaczęło się szukanie.

— Chłopcy, wy macie takie dobre oczy.

Naszymi dobrymi oczyma szukaliśmy nadaremnie. Jeszcze raz strzepywało się wszystkie przescieradła i mokre ręczniki.

— Przypomnij sobie, Marcysiu. Więc, — biegłaś...

— Ady, proszę pani, — głos się Marcysi załamał, — szukam, jak wszyscy przecie.

Oczy jej latały przez każdą trawkę, piach, tam i na powrót, w koło.

— Szukaj wiatru w polu, — powiedział głośno Irzek.

— Nie wiatru przecież, dziecko, moja ślubna obrączka.

Mrok zapadał, z trawy spelzła czerwień, na rzece siność się rozprzędła a z wiklin leciał rehot żabi. Macaliśmy po ciemku, blady centuś księżycyca siał srebrem poprzez piach.

Mama, podszedłszy nagle do Marcysi, wzięła ją za ramiona:

— Popatrz mi prosto w oczy, prosto, — prosto. A zielone źrenice dziewczuchy tak latają!

Dotąd pamiętamy gęste słowa matezyne wśród szumu ciemnych wiklin:

— Przyznaj się, czy nie wzięłaś!

Najstarszy brat machnął chorągiewką i od razu zawołał, że wzięła.

Jakby się w Marcysi złamała jakaś mała sprężynka:

— Ja wzięłam?! — Padła mamie do nóg.

— Naturalnie, że wzięłaś, — powiada na to Irzek.

— Nie wolno nigdy mówić, gdy się nie wie — odpowiada mu mama.

Musiał to Irzek powtórzyć jeszcze raz za matką! — Nie wolno nigdy mówić, gdy się nie wie.

Wracaliśmy przez łąki, mama przodem, z głową nad prześcieradłem smutnie przechyłoną, my w poufnej naradzie, — bo przecież mówił Drożdź, że *ona* jest złodzie... Najmłodszy brat nasz, Tanczuś rozplakał się zmienacka.

Na końcu szła Marcysia.

— Przyznaj się śmiało, wzięłaś?! — rzekł Irzek na dobranoc, gdyśmy leżeli w łózkach.

Marcysia ani słowa. Wydało się nam jednak, że słyszymy już prawie, jak to kłamstwo w niej syczy.

Srebrne różgi topoli szumiały przez otwarte okno, stary stróż na rogu wytrąbił godzinę. Księżyc zaszedł za ścianę, wionęło nocą po pościeli.

Najmłodszy brat zaczął znów płakać. Nie wiadomo, dlaczego?

Więc my starsi znowu po kolei: — Złodziejka.
— Złodziejka.

Marcysia nic.

My znowu.

Marcysia nic.

My znowu.

Jakże się nagle z całych sił nie rozedrze na wszystkie pokoje! Udarła się tak głośno, że z jadalni wbiegł Guccio z kandelabrem w ręku, za nim matka z rozpuszczonymi "na migrenę" włosami. Marcysia padła na kolana, skarżąc o słowa takie i wyzwiska. Łzy jej płynęły z oczu, z nosa, chyba także i z ust.

— Nie wolno nigdy mówić, gdy się nie wie, — powtórzył Guccio uroczyście. Twarz jego w świetle księżycy i zapalonych świec mieniła się "sądnym", srebrnozłotym blaskiem.

Poszli. Psy za oborą już na dobre ucichły. Irzek znowu odczekał i kiedy nawet świerszcz już ucichł w ścianie, syknął niby przez sen:

— Złodziejka.

Bose nogi skoczyły przez podłogę... Czarny sznur w Marcysinej dłoni wywijał już nad Irzkiem. Przycupnęliśmy od razu do poduszek. Nie była to już "nasza" Marcysia, ale straszna wykrzywiona gęba.

— Bo was tu pozabijam, — warczała przez odsłonięte zęby, — zabiję jak szczeniaków.

Na szczęście jutro już nie można było o tych

rzeczach pamiętać, szły najważniejsze ze wszystkich imieniny! Ubraliśmy się pierwszy raz w marynarskie granatowe bluzki, od samego rana było strzelanie z batów pod oknami. Wszysey ustawili się w kancelarii, z prababką na czele. Z Guciem i z ojcem. My trzej z trzema bukietami świeżych niezapominajek według wzrostu.

W pewnej chwili drzwi otwarły się same.

Od sypialni aż do nas widać na podłodze szlak różanych płatków, które znaczą drogę. Czekamy i czekamy, prababka woła śmiało:

— Wychodź, kochanie, wychodź, bo już mnie nogi bolą od takiego stania.

W otwarte drzwi wleciał cichy śmiech a za nim weszła nasza matka, jak jeden wielki bukiet. Zaczęliśmy nasze wiersze, — nie pamiętam treści, ale dotąd czuję ich ciepły ślad w sercu. Potem składamy dary. My bukiety, prababka różę, z kropłami rosy na rozgiętych liściach, babka złote kolczyki. Mama siedziała na fotelu, oplecionym białymi bratkami. Gdy się skończyło z rodziną, wystąpił przed imieninowy fotel pan Drożdż. Ryczał i huczał bardzo długo.

Potem wystąpił stary stangret Jan. Nie można było zrozumieć, co mówi. Ciągłe mu się mieszało i wracało do początku. Mówił także kosmaty kowal, którego bardzośmy się bali. Sapał uroczyście.

Potem jeszcze inni wystąpili i byłoby się wszystko bardzo pięknie skończyło, gdyby znów nie Marcysia! Przytulona do ściany, bosy, w codziennym przyodziewku, płakała pod piecem, że nie wyjdzie i życzyć nikomu niczego nie będzie za taką poniewierkę, jaką tutaj ma. Nikt się nie spodziewał, że Marcysia odważy się udrzeć "na środku imienin".

Wszyscy wiedzieli o obrączce, ale czy kto co mówił?!

Mama, zeszedłszy z fotela, głaskała Marcysię oburącz po głowie: — Wybij to sobie, dziewczyno, raz nareszcie z głowy.

Wszyscy poszli teraz na śniadanie, przy Marcysi został z nami tylko Kuba. Bylibyśmy ją nawet w końcu może pocieszyli, gdy wszedł pan Drożdż z wielką flachą wódki i powiedział:

— Ty, Kuba, jesteś dobry chłop, ale głupi akurat, jak twój Maciek. Dlatego z tą dziewczuchą chyba się sam rozprawię.

Rozprawił się z nią nazajutrz rano po imiennach w kancelarii. Była to pierwsza rozprawa sądowa, jaką między ludźmi słyszałem. Straszna to chwila, gdy człowiek o człowieku nie wie prawdy, gdy o nią pyta łakomie, uwierzyć nie mogąc. Straszna chwila, gdy pyta się ustami a spojrzeniem chciałby głowę przewiercić!

Ojciec czeka za biurkiem, pan Drożdż stoi na środku, dwie muchy siadły na końcu harapa. Myśmy się zaczęli pod oknem.

Marcysia nic, — Drożdż nic, — ojciec nic. Za oknem chwieją się w słońcu białe bratki, stary Karo gryza pod studnią jakąś kość.

Marcysia — nic. Drożdż — nic. Nareszcie mówi Drożdż tak twardo, że ojciec marszczy brwi.

— Gadaj zaraz, ukradłaś?!

Wszyscy — nic.

Teraz mówi Marcysia coś takiego dziwnego, żeśmy ze strachu przestali oddychać. Oczy jej latają — latają! Pan Drożdż poczerwieniał, wyciągnął bat z cholewy, wali o podłogę i idzie. Co da krok, wyrznie batem o ziemię.

— **Ja** nie skradłam, nie skradłam! — wrzasnęła Marcysia.

Leżymy w małych krzakach pod oknem, płaczemy najgorętszymi łzami, szczypiemy się za uszy z rozpaczy.

— Na Boga się przysięgnij, — woła Drożdź a harap każdemu słowu przytakuje. — Na Boga się przysięgnij!

Słysząc krzyk Marcysi, gdy wtem zaśmialiśmy się po cichu z taką ulgą. Słysząc równy głos naszego ojca:

— Daj pan spokój, Drożdź!

Jeżeli by istotnie nie mógł nasz ojciec pokonać byka Maćka, to Drożdża pokona zawsze, ile razy zechce.

— Daj pan spokój, Drożdź, absolutnie się nie zgodzę. Żadnych bić. Wszystko, co pan uważa, ale żadnych bić.

— Będziesz siedziała zamknięta o chlebie i wodzie — ryczy straszny głos Drożdża.

Po cieniem bluszczu Irzek kiwa głową, — że nie. Nie o chlebie i wodzie, — Irzek chce coś mówić, ale mu się wargi zbielały nie składają. Tylko mi do ucha powtarza, — że nie! Ukradniemy gomółek, suszonych jabłek, śliwek i zaniesiemy ukradkiem.

Uzbrojeni po uszy, zaczęliśmy się za węglem. Gdy Marcysię Drożdź prowadził do komórki, powiedzieliśmy, że chcemy wartować. To był początek naszej srogiej zemsty. Drożdź, jakby nigdy nie, pokazał ciężki zamek, na który komórka była zamknięta, plunął przed małym okienkiem, przez które widać było twarz Marcysi i powiedział:

— **Jak** chcecie, to pilnujcie. Na toście "som"

wojsko. Jeżeli nie dopilnujecie, to wam wszystkim tak wsypię! — Zamachnął się harapem i poszedł.

Chodziliśmy przed drzwiami komórki, jak warta na krakowskim odwachu. Irzek z Ceśkiem polecili tymczasem ukraść coś do jedzenia. Narwali marchwi, kalarepy, wzięli nasze drugie śniadanie. Wsunęli to wszystko przez okienko i znów trzymaliśmy straż, słuchając z rozkoszą głośnego mlaskania Marcysi.

Najadłszy się, zaczęła jęczeć i zawodzić. Przywołaliśmy Kubę, aby ją pocieszył. Na południe nie poszliśmy do domu, a tylko "na znak" obiadu rozpaliliśmy pod drzewem mały ogieniaszek.

Tak samo robi wojsko na biwaku.

Wszystkie potrawy przyniósł nam Gucio na ogromnej tacy. Wzięliśmy sobie tylko leguminę, zupę i mięso oddając Marcysi.

— Nie o chlebie i o wodzie, — triumfował Irzek.

Po obiedzie przyszedł znów pan Drożdź, wstawił głowę w okienko i znowu zaczął ryczeć do środka. Marcysia, niby dziki kot, miotała się między ścianami, depeąc po chróście i starym żelaziwie.

Usiedliśmy przy naszym ognisku, podczas gdy Drożdź wymyślał do komórki. Wtedy jeszcze raz powiedział nam Irzek, że Marcysia jest winna. Z przerażeniem utkwiliśmy oczy w ognisku. Malutkie płomienie wyrastały z kupki suchych gałęzi, jak długie złote liście.

Na wymyślanie pana Drożdża wyleciał Kuba ze stajni i prędko przekuśtykał przez całe podwórze. Pan Drożdź wyjął swój czerwony łeb z małego okienka. Marcysine płacze na chwileczkę umilkły. Kuba stał naprzeciw ekonomu i mówił:

— Proszę łaski pana. — Proszę łaski pana. —
Proszę łaski pana...

Słychać było na ogromnych topolach pośpieszny dygot liści. Z drugiego końca nieba, nad stodoły szła ogromną chmura. Kuba się rozplakał. Drożdż wyrznął harapem o cholewę i powiedział:

— Ty, Kuba, jesteś dobry chłop, ale głupi, akurat, jak twój Maciek. Wynochy mi do stajni!

Kuba pokuśtykał nie do stajni, lecz do dworu, wstawić się za Marcysią. Nikogo tam nie znalazł, czy też go nie wpuścili, — znów wrócił przed komórkę. Marcysia wciąż płakała. Rozlegało się po całym podwórzu. Prosililiśmy Kubę, żeby ją namówił, — niech się już raz przyzna i wszystko się skończy. Obiecaliśmy mu ukraść za to po dwa papierosy. Nie słuchał, tylko latał i latał.

— Lata, jak zasolony, — powiedział mój brat, wspierając się przy ogniu na wielkim, świeżo z kory obdartym jataganie.

Ogromnie chmury nawisły już ze wszystkich stron. Każdy liść pobłyskiwał bladym wystraszo-
nym srebrem. Ktoś zamknął pośpiesznie okno dworu. Ludzie wracali ze wszystkich stron pod dach. Od stawu, niby na skos złożone białe chustki, przemknęły gęsi prędko tuż nad ziemią. A Kuba tędy, a Kuba tamtędy, — znowu jest na ganku, znowu otwiera te same szklane drzwi.

Nagle w niską ciszę, chmurami przytłoczoną, do ziemi przycupniętą, wypadł z obory tak okropny ryk, żeśmy skoczyli wszyscy trzej jednym susem pod mały dach komórki. Coś się tam, widać, w przegrodach łamało z przeraźliwym chrzęstem. Śmignęła błyskawica i niewiadomo kiedy na sam środek podwórza wyleciał wściekły Maciek. Czoło

wiódł nisko nad murawą, ciskając dookoła zwojami łańcucha, który się skręcał, rozkręcał, niby z nozdrzy rzucana struga żywego żelaza.

Marcysia biła z całej siły we drzwi.

Irzek nas objął za szyję i przeraźliwie krzyknął, przez huk pierwszego pioruna:

— Ogień nas ocali. Całe stada bawołów amerykańskich uciekają zawsze przed ogniem!

Ale cóż mogło znaczyć tych kilka chwiejnych, wybladłych płomyków wobec straszego Maćka, który z dźwiękiem żelastwa rwał na ukos przez podwórze. Już wywalił wszystkie krzaki róży, zjarchał wszystkie bratki i, bodąc mętne, zalęknione powietrze, pędził na oślep przed siebie.

Kuba skoczył mu śmiało na spotkanie.

— Kuba, Kuba, — płakaliśmy bezradnie.

Marcysia biła w drzwi, kurzawa drżała w ścisłym świetle błyskawic. Wiatr leciał ze wszystkich stron, z drzew gnały liście całymi garściami.

Kuba trzymał już byka za łańcuch. Stali chwilę naprzeciw siebie, oko w oko. Nagle Kuba z łańcuchem runął na klomb, Maćkowi z nodrzy chlusnęła strugą krew. Marcysia, wyłamawszy drzwi, skoczyła na podwórze. Uciekliśmy co prędzej do otwartej komórki. Za chwilę z płachtą w ręku przeleciał konno Drożdź.

Grad jak groch stukał w dachy, schowaliśmy się za kupę starych chomąt, dokoła krzyczeli już ludzie: nie żyje, — Kuba zabity, — nie żyje!!

Gdy tylko przeszła burza, uciekliśmy ze dworu aż nad rzekę. Do wiklin.

Irzek mówił, że wszystko jedno, co się stało i tak "będzie na nas". Za to wartowanie.

Poszliśmy naszą groblą, daleko, daleko, daleko,

pod las, nad którym wisiała wielka czysta tęcza. Strzelaliśmy do niej z naszych nowych łuków. Na powrotnej drodze znalazła nas matka. Musiała mieć migrenę, bo znowu biegła z rozpuszczonymi włosami. Przysięgła się, że nas zamknie na cztery dni, jeżeli jeszcze kiedykolwiek wyjdziemy sami ze dworu. Po czym dowiedzieliśmy się, że Maciek wziął na rogi pocziwego Kubę i rzucił aż pod samą stodołę. Bułanek pana Drożdża także bardzo ucierpiał, — już mu strzelili w łeb.

Za krzakiem głogu, gdzie się skręca do wsi, dogoniła nas Marcysia. Zdawało się z daleka, że się śmieje, ale nie był to śmiech. Krzyczała z pięściami przy skroniach.

— To przez panią, przez panią! Na pani głowę ta krew! Ta krew!

Matka nasza zbladła, jak papier i nie wiedzieć skąd powiedziała, — przepraszam.

— Boście mnie posadzili, zamknęli, — krzyczała Marcysia, — i bez to Kuba Maćka nie dopatrzył!

Mama, puściwszy nasze ręce, uderzyła się w piersi:

— Nie ja, nie ja! Wierzę, żeś nie ukradła!

Marcysia była wysoka, a nasza matka niska. Marcysia skoczyła z paznokciami do oczu. Ale mama z płaczem upadła jej na piersi, wołając:

— Wierzę, Marcysiu, że nie ty, wierzę, że nie ty!

Pobiegliśmy prosto do dworu poskarżyć Gu-ciowi, Drożdżowi i prababce, o tym, co się dzieje na grobli. Wszyscy polecili przez rozmokłą drogę, prababka tylko została sama na werandzie.

Nazbierawszy kamieni, poszliśmy do obory, żeby ukarać Maćka. Stał sobie zwyczajnie za kratą, oczy miał owiązane grubą płachtą, ale z nodrzy

ciekła mu krew. Siano było zabarwione.

— Byk nie ma krwi, — pouczył nas Irzek tajemniczo, — tylko juchę. Ale też dostał bestia!

Słowo bestia dodało nam odwagi, choć nie mogliśmy ocenić, kto więcej dostał: byk, czy Kuba? Kuba leżał na swej małej pryczy, zawinięty ze wszystkich stron i niby spał. Chyba nigdy jeszcze nie był tak czysto umyty. Gdyśmy mu przynosili papierosy, budził się i kazał je sobie chować do czapki. Przynosiliśmy mu ciągle coś nowego aż do wieczora.

Marcysia siedziała obok, płacząc, jakby nas już wcale nie знаła. Nie znała nas tego wieczora, ani jutro, ani potem, gdy wywozili Kubę na ciężką chorobę do miasta. By uczcić naszą wierną przejazd z Kubą, poszliśmy do stajni i strzelałiśmy Maćkowi z łuków prosto w brzuch, tak długo, że się omal drugi raz nie oberwał.

Marcysia już nas nie znała wcale. Pan Drożdż mówił, że to wszystko „kumedie”, tylko przez nie hardości nabierze, lepiej zapłacić i od razu wyrzucić. Wszyscy radzili to samo, nawet Guccio, którego się o takie rzeczy nikt wtedy nie pytał.

Mama, — nie, nigdy, przenigdy, że Marcysi teraz nie odprawi. Nie miała w niej osobiwej pomocy, przeciwnie, — tylko krzyż pański. Ale gdyby Kuba nie złapał wtedy Maćka, coby się stało wówczas z nami koło komórki?!

— Żeby była pierścionka nie ukradła, — huczał groźnie pan Drożdż, — toby w komórce wcale nie siedziała. Czy to słyszane rzeczy?!

Teraz nie siedziała ani w komórce, ani przy nas, ani właściwie nigdzie. Choć żaden z nas słówkiem już o niczym nie pisał, — niech tylko

noc nastanie, Marcysia szust przez okno do księżycy. Dawniej wszystko, co weźmie, ostrożnie złoży, postawi, — teraz jedno po drugim — chrast - prast. Dawniej mówić z nią można było, bawić się czy żartować, — dziś tylko jedno huru-buru i koniec.

— I co? — wołał do matki pan Drożdż przez wonny dym powideł, gotowanych na ogniu w ogrodzie, — tylko jeszcze większe złodziejstwo będzie z tego.

Złodziejstwo było coraz większe, wszystko „spod ręki” w domu ginęło, gdzieś się zapodziewało. Na wszystkim, jak się u nas mówiło, — siadał diabeł. Na ubrankach, srebrnych łyżeczkach, nawet na pieniądzech.

— Bo żeby pani dała dziewczuchę kijem, jak się patrzy, obłożyć, wszystkoby się wykryło. Wyśpiewałaby gracko, jak za panią matką. — Przy tych słowach aż się pan Drożdż większy robił, w dymie powideł nad skwierczącymi garami.

Mama powiedziała już swoje słowo — przenigdy — i wszystko musiało zostać po dawnemu aż do późnej jesieni. A w jesieni nastał znów czas odjazdu.

Pewnego popołudnia wyprowadził Jan siwki do kucia. Polecieliśmy do kowala dmuchać w ogień, rzucać krople wody na czerwone podkowy i patrzeć, jak młody pomocnik skrobie siwkom kopyta.

Na drugi dzień z rana wystąpiły z kątów wszystkie kufry. Zaraz znieśliśmy nasze łuki, kołczany, jatagany, miecze, kusze, dziryty.

— Na co tu te patyki, — zawołał Gucio i nogą odsunął aż pod piec całą naszą zbrojownię.

I-nic. Nikomu już nie było żal. Przyszedł Karo,

obwahał tę broń, przed którą przecież tyle razy drżał ze strachu. Ogonem nawet nie machnąwszy, poszedł dalej. Nie wiedzieliśmy wcale, co robić od rana, a w ogóle od dawna prószyl cienki kapuśniak. Poszliśmy do matki, aby powiedzieć, że się strasznie nudzimy.

Odpowiedziała, że to wybornie, bo już i tak wracamy jutro do miasta.

Na obiad była zupa grzybowa, ziemniaki w skorupach i post.

Poszliśmy do kancelarii dłubać w starych fajkach pradziadka, który już bardzo dawno nie żył. Nasze miecze i jatagany najspokojniej w świetle paliły się w piecu. Widać było, jak rzeźbione kiedyś pilnie rękojeście pożera szybki ogień. Zresztą nie się nie działo, — od czasu do czasu przylatywały na płot zmoknięte wrony.

W kącie szyby leżała łapkami do góry, wyszana już dawno przez pajaka, zakurzona mucha.

Położyliśmy się zgodnie na dywanie, aby razem ziewać „na trzy”.

Przyszedł Guccio, żeby nas uciszyć, — mamę bolała głowa. Siadł przed biurkiem, ziewnął, aż mu łzy w oczach stanęły i — niby nie do nas, a tak dla siebie, samemu powietrzu, zaczął opowiadać ponurą bajkę.

O frygach, strzygach piszących kredą na wodzie, o wilkołakach i kościstych szkieletach.

Ze strachu wpełzliśmy pod kanapę. Mrok już zapadał. Guccio, widząc, żeśmy się schowali, kazał sobie przynieść z drugiego pokoju zapalniczki. Do drugiego pokoju nie poszedłby teraz żaden z nas za największe skarby na świecie.

— Jak to?! — Jeżeli was tak bardzo proszę?

— Kiedy się boimy, — odpowiedzieliśmy razem. Gucio zatarł ręce z radości, że nas strasznym opowiadaniem przygwoździł pod kanapę, zaśmiał się i powiedział, — a to co innego. W takim razie bardzo przepraszam. — I poszedł.

Siedzieliśmy skuleni pod kanapą, z jadalni wpadała szeroka szpara światła zapalonej lampy. Odbywało się tam uroczyste liczenie zimowych zapasów.

— Masz — nudziła prababka roztrzęsionym głosem, — czterdzieści słoików malin.

— Za dużo babciu, za dużo, — odpowiedziała mama.

— Wcale nie za dużo, — powtarzał znowu stary głos. — Masz trzydzieści słoików rydzyków...

Gdy słoje wstawiano do skrzyń, moszczonych grubo słomą, zamykaliśmy oczy z przerażenia. Bo może tak samo rajdoszą się na ementarzach szkielety?!

Ktoś za oknami przeleciał ze świstem po oślizłej trawie. Szarpnął się koło okna, może upadł? Tuż za nim mokre, ciężkie kroki...

— Wcale nie za dużo, moje kochane dziecko, — ciągnęła babka, — nagle Karo za domem szeknął przeraźliwie i zaraz, chyba nad stawem pomiędzy topoli trysnął okropny wrzask! Przez deszcz, wichurę trwał jednym długim ciągiem.

Stłukło się coś w jadalni! Na pewno wielki stół z korniszonami. Z mrocznych pokoi ciągle ktoś wyskakiwał i pytał:

— Co to jest?! Co to jest?! Co to jest?!

Wyskoczyliśmy spod kanapy.

Szklane drzwi otwarły się z trzaskiem, w liberyjnym kaszkiecie, wpadł do salonu Jan.

— Do samej pani starszej.

Matka mu zastąpiła drogę.

— Kiedy, proszę pani, do samej pani starszej.

— A cóż to, Janie, nie widzicie, że jestem?! — zachnęła się prababka.

Opowiadał, że pan Drożdż, że Drożdż dopadł Marcysię, jak wybierała ziemniaki z zimowego dołka, wiadoma rzecz — kradła, więc teraz bije ją nad stawem, bije okropnie, póki całej prawdy nie wybije.

— Proszę pani starszej, — żeby aby nie zabił?!!

Wskoczyliśmy za matką. Biegła przez deszcz i wiatr i dalej śmiało koło płotu, na którym strzygi piszą może kredą i, — panie Drożdż, panie Drożdż, panie Drożdż, — wołała.

Drożdż na tym wietrze mógł nawet nie nie słyszeć. Stał nad czarną sadzawką, nogami wparty w błoto i swą ogromną lachą bił strasznie w żywe ciało. Jedną ręką walił, drugą trzymał Marcysię, która tańczyła nad ziemią, jak piórko, lecz z przeraźliwym krzykiem.

— Zapałaś się, złodziejko, — ryczał pan ekonom. — Ukradłaś!!

— Nie ukradłam!!! — skamlała Marcysia, tańcząc coraz wyżej.

— Ja z ciebie prawdę wybije!

— Zdechnę, — a nie wybijesz! Zdechnę, — a nie wy-bi-jesz!

— Panie Drożdż! — wołała nasza matka.

Oślepy ze złości nie wiedział, co się dzieje. Nasza matka skoczyła nad sam brzeg sadzawki i całą siłą zwiła na rękę pana Drożdża. I wtedy stała się rzecz straszna a zarazem przedziwnie dobroczynna, którą dziś jeszcze w dalekim wspomnie-

niu witam uśmiechem pomieszany z łzami.

Pan Drożdż, nie widząc chowającej się za matką Marcysi, uderzył naszą matkę swoją straszliwą lachą przez skroń i przez ramię.

Krzyknęła jeden jedyny raz, może nawet nie głośno, może cicho. Ale pan Drożdż zatoczył się, zawołał — Jezus Maria, — lachę swą złamał na kolanie, oba kawały cisnął oburącz do stawu i z krzykiem uciekł w noc.

Rzuciliśmy się z pięściami na Marcysię, Irzek ją chwycił za włosy, ja biłem z całych sił. Ale od razu, nie wiadomo kiedy, opęły nas, opręły ręce naszej matki.

— Wstyďtecie się, wstyďtecie, nie wolno nigdy bić, powtarzała z płaczem, — ja ci, Marcysiu wierzę.

Musieliśmy iść naprzód, sami z Guciem, — one we dwie z tyłu. Trzymały się za ręce i razem, jak dwie siostry, płakały.

Wieczorem nie było już przy nas nikogo, tylko siedział Guccio. Okno było zamknięte, topole nagimi gałęziami stukały w czarne szyby. Rudy cień świecy czołgał się po kątach.

Pytaliśmy Guccia, dlaczego pan Drożdż bił Marcysię? Jakie miał na to prawo? I dlaczego odważył się uderzyć naszą własną matkę? I czy się teraz nie powinno zastrzelić pana Drożdża?!

Guccio odpowiedział, że mu się śmierć Drożdża wcale nie uśmiecha. Że Drożdż bił Marcysię, aby jej pomóc powiedzieć prawdę. Ostatecznie pomylił się, nikomu nie pomógł, a nawet w dodatku mimowoli wszystkim zaszkodził.

— Słowem, — zakończył Guccio, — lepiej śpijcie, bo cała ta historia funta kłaków nie warta.

Nie było już co czekać, księżyc się tego wieczora nie pokazał w oknie, zasnęliśmy od razu i dobrze się stało, żeśmy po tej przygodzie, funta kłaków nie wartej, na wsi już dłużej nie siedzieli.

Bo cóż? Bo nie i już koniec wakacji.

Wyjazd się zaczął od samego rana. Przyszedł dawny kolega Kuby i jeszcze jakiś drugi. Pojechali z furą do miasta, staną u nas w Rynku jutro na śniadanie.

Do powozu na kozioł poszły drobne paczki. Przyszła prababka i ostrożnie ścisnęła naszą matkę, która miała rękę na temblaku i przewiazaną skroń. Potem znowu zaczęli szukać czegoś jeszcze po wszystkich pokojach, ale Guccio ukradkiem machnął swoją laseczką i konie ruszyły ostro z miejsca. Teraz my z powozu wiewaliśmy chustkami. Na mokrym ganeczku stała w siwej otoce włosów prababka, sama jedna.

Wkrótce już dwór zgubił się za zakrętem, wysokie topole malały coraz bardziej, rosła przed nami droga coraz dłuższa. Mama nas szczerze otuliła, zresztą i tak jechaliśmy z nastawioną budą, więc nam deszcz nie nie szkodził.

Tylko Jan, gdyśmy ze wsi wyjechali, wiercił się na koźle, wygrażał komuś batem, to w lewo, to znów w prawo.

— Co tam widzicie Janie?

— A no nic, proszę pani. Cobym ta znów miał widzieć?

Jedziemy, błoto zsuwa się z przednich kół, a Jan znowu wygraża, za siebie się obciera poprzez budę powozu. W ospałym kłusie siwków słychać coraz wyraźniej bosc kroki, śpieszące po błocie.

— Co tam widzicie, Janie?

Czyjes palce uczepiły się skórzanego brzegu bu-

dy powozowej i prosto na podolek mamy, — jakby z nicości zamglonego widoku spadł wielki bukiet świeżych, rozkwitłych astrów.

— Co to znaczy, Janie?! Stańcie, ktoś nas goni?!

Jan zaciał tylko siwki, bliskie kroki gonią nas po błocie i znów dwie ciemne ręce chwytają za brzeg budy. Nad skórzany fartuch wysuwa się zniecka sina, pobita, straszna twarz Marcysi.

— Stańcież, Janie, — stańcie!

Stoimy w głuchej pustce. Wrony latają daleko nad stertami. Mama z chustką na bakier przez oko całuje się z Marcysią, która płacze i cała drży, którą żal wstrząsa ogromny, tak ogromny, że żaden z nas wytrzymać już nie może.

Wszyscy naraz płaczemy. I nie wiadomo kiedy, z łez Marcysi na ręce naszej matki spłynęła obrączka. Ta sama, złota, ślubna, właśnie podczas kąpie-li przy głogu zgubiona.

— Marcysiu, ach, Marcysiu! — wołamy.

Wołaliśmy na próżno, nie nie odpowiedziała, widać ją jak ucieka polami rozmokłymi ku grobli. Jan ruszył jeszcze prędzej, teraz naprawdę, żeby czasu nadrobić.

Marcysia w jedną stronę ucieka, my w drugą zakręcamy. Po obu brzegach drogi wielkie wody rozlane.

— Teraz jedziemy groblą, — powiada nasza matka.

— Marcysia mi oddała pierścionek, — tu nas znów matka ogarnia ramionami, — bo jej wierzy-łam, bo razem z nią cierpiałam. Marcysia dobrowolnie oddała mi obrączkę...

Czy mogliśmy zrozumieć? Zamiast się cieszyć z odzyskanej obrączki, matka nasza znów płacze. Uś-miecha się i płacze i powiada bez związku o ja-

kiejś wąskiej ścieżce, która, jak grobla między wodą a wodą, prowadzi wśród przepaści, zawsze ku pojednaniu. Byleby wierzyć ludziom i razem z nimi cierpieć.

— Pamiętajcie Marcysię chłopcy, — powiada nasza matka przez łzy.

Gdy są tak prędkie i tak ogromnie jasne, nie trzeba sprzeciwiać się mamie, wiemy to bardzo dobrze. Więc się nie sprzeciwiamy, a czy pamiętać będziemy, to znowu co innego.

Powóz zakręca, stangret cmoka na konie, mama uśmiecha się i wesoło i smutno. Marcysię ledwie widać. Jeszcze biegnie, ucieka, ale oto już się rozpływa we mgle, po tamtej stronie pól.

SZKOŁA

(Wstęp poparty później przykładami na to, czego nie powinno być).

Postawiłem na górze stronicy tytuł Szkoła i — ręka mi zadrżała ze strachu. Na szkole wszyscy się znają, każdyby ją chciał poprawić, ulepszyć a wszyscy jej wypominają, czego im potem w umiejętności pracy nie dostało. Nie dziw przeto, że mi ręka zadrżała, widzę poważnych ludzi mego kraju, jakby wokół tej kartki zgromadzonych, groźnie patrzących, czy im po myśli pójdzie moja mała praca.

Choć jest mała, będzie ważna. Nie ma w sprawie szkoły rzeczy błahych.

Wszystko tu jest równie ważne i konieczne, bo wszystko wpływa na duszę i charakter przyszłego człowieka.

Stoi więc za moim stołem, nakrytym bibułą, sam Prezydent, posłowie, senatorowie, biskupi, żołnierze, rzemieślnicy, chłopci, nawet strażaków musi to obchodzić. Wszyscy patrzą mi na pióro, jakby zaraz chcieli krzyknąć:

— Uważajno, mój drogi, bo to się może źle skończyć!

Zaprawdę, stygną na ustach wszelkie żarty! Widzę cię teraz dokoła stołu, Ojczyzno moja cała,

twych ludzi widzę, twe pola, góry, rzeki. Mury, kamienie, zwierzęta, wszystko oblega teraz mały zeszyt, w którym piszę. Bo pisać o szkole, to tyle samo, co urabiać przyszłość, tyle samo, co chciał kształtować serce człowieka i za kształt tego serca nieść odpowiedzialność!

Powiedz, czytelniku, czy możemy podjąć tak ogromne zadanie?

Pisząc o szkole nie dam wam żadnej rady, moi czytelnicy, a tylko podzielę się kilku wspomnieniami, o których z biegiem lat wyrobiłem już sobie własne zdanie. Nie przypuszczam, aby mi się udało zestawić listę wszystkich spraw źle, czy niepotrzebnie traktowanych w szkole. Ale kilka zagadnień muszę tu roztrząsać, bo mi w pamięci dotąd tkwią i dotąd spokoju nie dają.

Otóż: 1) nie powinno być w szkole walki między uczniami, 2) podziału na biednych i bogatych, 3) różnicy ze względu na pochodzenie ucznia, czy też rasę, 4) wreszcie być nie powinno, by nauczyciel przeklinał głośno swój profesorski los.

Nie mam zamiaru nikogo tu sądzić, ale przeciw tym grzechom występuję i jeżeli któryś z was powie, że błędzę, że wyżej przytoczone kwestie dobrej szkole nie szkodzą, jeżeli któryś z waszych nauczycieli powie, że się mylę, — chcę o tym wiedzieć koniecznie. Będę się z nim bowiem o to kłócił w kancelarii dyrektora, w klasie, na korytarzu. Stanę w bramie szkoły, zatrzymam wszystkich wychodzących i na podwórzu jeszcze się kłócić będę. Będę się spierał o to po drodze ze szkoły do domu.

Nie dam w domu spokoju i nawet jeszcze później, gdy się już jako dorośli kiedyś w życiu spotkamy, przypomnę, powtórzę, znów ten spór odnowię, choćbyś ty był królem a ja dziadem, ty się

dzią a ja aresztantem, ty ważnym doktorem a ja na łożu śmierci, ty całym Narodem a ja samotnym, opuszczonym człowiekiem.

Niejaki Kastalski

Było to zaraz po powrocie ze wsi.

— Od jutra będziecie już zawsze, przez długie lata, wstawać o tej samej godzinie, aby na ósmą być w szkole, — powiedział nam ojciec na dobranoc. — Trudno, muszę was kształcić.

Wstaliśmy o tej samej godzinie, rano o siódmej. Już nie było żadnego innego gadania o niczym.

Na śniadanie wypilimy gorącego mleka ze świeżymi bułeczkami i całym domem poszliśmy do szkoły.

— Trudno i darmo — rzekł ojciec do naszej matki, która zapiąwszy nam płaszcze pod szyją, całowała jeszcze raz każdego ważnym, urzędowym pocałunkiem w czoło.

Gdyśmy wyszli z naszej bramy, pokazał nam ojciec laską wielki czarny cyferblat na ratuszowej wieży. Serce dużej, złotej wskazówki było już niedaleko ósmej, mała wskazówka stała prawie na samej godzinie.

— Powinniście zawsze wychodzić o tej samej porze. Nie wolno się spóźniać. — Rzekłszy to, skierował się nasz ojciec ku ulicy Brackiej.

Szliśmy „całym domem”, gdyż miałem zdawać egzamin do pierwszej klasy ludowej.

Bałem się napisania litery f, bo nigdy nie wiedziałem, gdzie ją trzeba przewiązać ogonkiem i bałem się napisania ósemki. Zdarzało się często przy ósemce, że z górnego kółka robił mi się mały niekształtny bacik. Zresztą wszystko było w po-

rządku: z nowej tabliczki łupkowej zwieszała się na sznurku czysta, nowa gąbka, rysik dzielnie chrobotał w piórniku...

Co się potem działo nie wiem. Pamiętam tylko, że w końcu zdawaliśmy we dwóch, to jest niejaki Kastalski i ja.

Byłem małego wzrostu, i Kastalski wydawał się przy mnie olbrzymem. Staliśmy razem przy tablicy. Moi rodzice siedzieli w pierwszej ławce. Ojcu dzwoniły kluczyki w kieszeni, mama szumiała jedwabiem.

O wiele dalej, prawie w ostatniej ławie, siedział niby jakiś stróż i stróżka. Okazali się potem rodzicami Kastalskiego. Nie wyobrażałem sobie dotąd, że rodzice mogą być w ogóle tak biedni.

Zdawaliśmy razem z wielkoludem Kastalskim, — a właściwie on zdawał, podczas mnie używano tylko do pomocy. Zaczęło się od drabiny.

Pan nauczyciel kazał Kastalskiemu wyrysować drabinę na dużej szkolnej tablicy. Nie wiem, czy Kastalski się bał, czy co?

W samym rożku tablicy smarował coś kredą bez sensu. Po prostu dłubał.

— No, a ty! — rzekł pan nauczyciel.

Ukłoniwszy się pięknie, machnąłem od razu dwie wielkie linie równoległe, po czym od dołu, jakbym się miał wspinać, jakbym po nich szedł, jakby nimi biegło do góry moje serce, — kreślić zacząłem stopnie. Jeden, drugi, trzeci, — nie można się było pomylić. Spojrzałem przy tym mimo woli na Kastalskiego. W długich butach, w połatanej katance stał z otwartymi ustami i ręce wyciągnął po kredę.

Nie miałem ani chwili do stracenia, kredy mu nie oddałem. Rysowałem stopnie drabiny coraz wyżej, — Kastalski łykał tylko ślinę.

Pytano nas potem z rachunków, — do dwudziestu. Kastalski umiał liczyć tylko do czternastu. Dalej już poplątało mu się wszystko. Matka jego rzuciła z pleców chustkę i, powstawszy z ławki, szepnęła głośno:

Piętnaście!

Pan nauczyciel zauważył, że nie wolno podpowiadać. Kto wie, może się myłę, ale zdaje mi się, że nawet mój ojciec odwrócił się i zmierzył kobietę w chustce niechętnym spojrzeniem.

Pan nauczyciel zwrócił się do mnie ze słowami: — A ty?

Zacząłem liczyć, jakby znów pod górę, jakby po tych liczbach moje serce wspinało się wysoko, do dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu. Nie wiem dlaczego, ale od trzydziestu nie liczyłem już do pana nauczyciela, lecz do Kastalskiego, który się rumienił i jak gdyby brzękł od wypowiedzianych przeze mnie cyfr.

Gdy zaczerpnąłem oddechu przy osiemdziesiąt jeden, — głowa Kastalskiego opadła na piersi.

Następnie do dwudziestu, — ale dodawanie i odejmowanie.

Pierwszy odpowiadał Kastalski. Każde pytanie najpierw głośno przelikał. Gdy przelikał, tonęło w nim, że już nawet nie wiedział, na co ma odpowiadać.

Z początku czekałem spokojnie. Ale gdy pan nauczyciel zwrócony do Kastalskiego, patrzył od razu na mnie — wcale już nie czekałem. Popatrzywszy na chudą szyję Kastalskiego, widząc, że dopiero łyka, — odpowiadałem od razu.

Moi rodzice i pan nauczyciel kiwali chętnie głowami, a ja ostrym spojrzeniem, niby scyzorykiem,

śmigalem przez twarz Kastalskiego, — i już wiem że on nie wie!

I już mówię, co wiem!

I już się uśmiecham, nim Kastalski podniesie do góry swą zbiedzoną głowę.

I już mu nawet ust otworzyć nie dam, bo wszystko wiem! Wiem naprzód, wiem za siebie i za niego, głupiego. Wiem, tak prędko, głośno, że pan nauczyciel już na mnie tylko patrzy. Wiem tak dobrze, że nawet gdy Kastalski zaczyna odpowiadać, — ja mu słowa wrywam z ust!!!

Wiem tak prędko, głośno, składnie, wyśmieniście, że Kastalski zakrywa sobie oczy rękawem kaptany. Jego ojciec przełożył czapkę z rąk do rąk.

Pan nauczyciel gładzi mnie lekko po głowie i mówi do mego ojca:

— No, naturalnie.

Tymczasem Kastalski wybucha głośnym płaczem.

Tego nie powinno być w szkole!

Szukam cię teraz, kochany Kastalski, chcę ci powiedzieć, że to była wielka niesprawiedliwość. Nikt nie miał racji przed tablicą, na której rysowałem drabinę, nikt, prócz twojej matki, gdy ze łzami w oczach szepnęła:

”Piętnaście”.

Chcę ci powiedzieć, że wszyscyśmy tam oszukali nasz kraj, bośmy tobie powinni byli pomagać, a nie mnie tuczyć twoją krzywdą.

Nie wiem, czy żyjesz, nie wiem, czy pamiętasz tego rumianego chłopca w granatowej marynarskiej bluzie, który ci słowa wrywał z ust, patrząc na nauczyciela nędznym, przypochebnym wzrokiem. Ten chłopiec, mój kochany Kastalski, — to ja. Jeżeli jesteś gdzie na świecie sławny i potężny,

— dowiedz się, że mi twoja krzywda w życiu nie wygodziła, bom niczego wielkiego nie dokonał.

Jeżeli nie jesteś ani potężny, ani sławny, jeżeli jesteś byle kim i mniej jeszcze znaczysz ode mnie, pociesz się, że jestem zawsze twym dłużnikiem. Skąd chcesz, kiedy chcesz, przyjdź do mnie, a gdybym cię nie poznał, powiedz tylko jedno:

— Jestem ten Kastalski, któremuś wtedy w szkole myśleć i mówić nie dał. Jestem ten Kastalski, któremu matka podpowiedziała: "piętnaście".

Do ciebie, Kastalski, należy zawsze połowa mojej pracy. Sądzę nawet, że więcej: — połowa mego serca.

Najbiedniejszy uczeń

W drugiej klasie ludowej śpiewaliśmy piosenkę której tytułu, niestety, już nie pamiętam, o małej myszce. Myszka ta, znęcona zapachem słoniny, weszła na jakąś deszczuleczkę, zastawionej pułapki. Tu przychodził taki mniej więcej koniec śpiewanego przez nas utworu:

"Paf, deszczułka się złamała

"I ta myszka się złapała!

Wystarczy mi przepowiedzieć w myśli ów wiersz bym od razu, — jakby od tego czasu nie minęło trzydziestu kilku lat, — bym od razu zobaczył całą naszą klasę...

Stoimy w ławkach, jest już prawie ciemno, za oknami pada szary, ciężki śnieg. Nad katedrą widać naszego pana nauczyciela. Wymachuje rękami na trzy. Nie na cztery, bo piosenka o myszy jest, — jak nas pouczył, — mazurkiem. Już wnet przyjdzie miejsce, w którym mamy zaczerpnąć oddechu

by potem razem głośno krzyknąć "paf"! — i dalej już spokojnie "deszczułka się złamała" i t.d.

Śpiewamy o słoninice, — teraz, jak mysz wylatuje i wacha tę słoninkę, jak ślinka napływa myszy do ust. Już przychodzi miejsce "paf", ale tu pomyliłem się i z wielkiego rozpedu zamiast "paf" krzyknąłem — "hop"!

Po czym dalej spokojnie, — deszczułka się złamała itd.

Bieniarz, który siedział ze mną w jednej ławce, wielki obdartus, ale doskonały chłopiec, — Żydek Deyches, który stał przed nami i jeszcze inni wszędzie blisko usłyszeli, że nie śpiewam paf, tylko hop!

Pan nauczyciel przestał machać i zaczął patrzeć na wszystkich po kolei. Ledwośmy mogli wytrzymać ze śmiechu. Hop! pokonało paf!

Pan nauczyciel kazał nam otworzyć książki na stronie siedemnastej, gdzie była pod obrazkiem wydrukowana nasza piosenka.

— Proszę przeczytać czy tam jest hop, czy paf? Bieniarz, — przeczytaj.

Bieniarz, który się bał pana nauczyciela najwięcej z całej klasy, zmarszczył brwi, podniósł książkę aż do oczu i przeczytał głośno:

— Paf!

— No więc proszę, jeszcze raz śpiewamy, — zawołał pan nauczyciel.

Znowu przyszło miejsce o ślince, którą mysz zaczęła łykać, by nastąpiło "paf"!

Już nie połowa, cała klasa zaśpiewała "hop"! deszczułka i t. d.

Pan nauczyciel odpukał i zrobił się czerwony. Tyle krwi napłynęło mu do twrzy, że stała się purpurowa. Śnieg padał dalej spokojnie za ciemnymi szybami.

— Który to z was wymyślił to głupie hop! — spytał pan nauczyciel, ocierając pot z czoła dużą białą chustką. Wytarłszy także ręce, skrzyżował je sobie na piersiach. Było to zawsze znakiem nadchodzącej awantury.

Wszyscy spuścili oczy. Patrzyliśmy teraz niepokojnie wzdłuż ławek, a równocześnie na nauczyciela.

— Któryż to z was wymyślił?

Nikt się nie przyznał. Ja też nie. Nie wymyśliłem przecież *wspólnego* śpiewania hop!

Krzepiła nas nadzieja, że jak zawsze tak i teraz wszystko się ostatecznie skrupi na Bieniarzu. Był w szkole za darmo, uczył się nieszczególnie, a pod koniec zeszłego roku matka jego za to, że zgubił podarowane mu przez szkołę książki, chciała pocałować naszego pana nauczyciela w rękę. Płakała ale nie pozwolił.

— Pytam się po raz trzeci, który to z was wymyślił?

Nikt się nie przyznał.

Pan nauczyciel zbiegł ze stopni katedry i przyskoczył do Bieniarza, który stał obok mnie. Jak zawsze tak i teraz pachniało od naszego pana nauczyciela ślazowymi cukierkami.

— Bieniarz! Otwórz jeszcze raz na siedemnastej stronie i przeczytaj głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Bieniarz zbladł, otworzył na siedemnastej stronie i nie wiadomo czemu, najpewniej ze strachu, zamiast "paf"! przeczytał *właśnie* „hop"! Chciał się zaraz poprawić, ale pan nauczyciel krzyknął:

— Teraz ci okulary sprawię!!

Okulary polegały na tym, że wsadził Bienia-

rzowi twarz nosem między otwarte stronice i terpał mu silnie włosy za uszami, wołając:

— Masz teraz okulary, żebyś mógł przeczytać, czy „paf”! stoi napisane, czy wasze głupie „hop”!

Bieniarz nie mógł już potem śpiewać. Wsparty na ławce, płakał. Powtórzyliśmy całą piosenkę jeszcze raz od początku. Kiedy przyszło niebezpieczne miejsce, wszyscy razem zaśpiewali zgodnie „paf”! deszczulka się złamała” i t. d.

Po skończonej godzinie zaczęliśmy się co prędzej ubierać, do śniegu się nam teraz śpieszyło, pan nauczyciel trwał jeszcze ciągle na katedrze, spocony.

Bieniarz płakał, lzy jego ciekły strugami po ławce. Stanąwszy całą kupą przy drzwiach, krzyknęliśmy mu na wszelki wypadek:

— Mazgaj, — strachopuda, — beksa!

Opowiedziałem to w domu nie zaraz, o wiele później, dopiero na Boże Narodzenie.

Ojciec mój niby się śmiał, śmiał, śmiał, aż nagle wziął mnie mocno za obie ręce i tak blisko popatrzył w oczy, że mi się od razu zaczerwieniło.

— Postąpiliście, jak ludzie niegodni, — powiedział, — nie ma większej hańby, jak odwaga na koszt cudzego cierpienia. Powiedz Bieniarzowi, — zacisnął usta i uderzył mnie mocno w lewe ramię, — że za to paf! czy hop! tyś też dostał. I to nie od nauczyciela. Że cię za to z wielkim bólem serca uderzył twój własny ojciec. Pamiętaj, powiedz to Bieniarzowi zaraz jutro.

Żyd

Żydzi chodzili z nami już do szkoły ludowej, ale zostawali czasem na nauce naszej religii, przy tym

byli ładnie ubrani, na przykład nasz Deyches. Deyches przynosił świetne ciastka ze słodkimi, żydowskimi może, ale doskonałymi powidłami. Na wakacje jechał, — zawsze mówił, że "sam" jedzie, — jechał nad morze.

Więc choć byli Żydami, jakby nimi nie byli.

Prawdziwych Żydów poznałem dopiero w gimnazjum. Było ich w naszej klasie aż dwudziestu na czterdziestu trzech uczniów. W klasie drugiej B. Ile razy sobie przypomniałem, że są po prostu Żydami, niecierpiałem ich. Mój starszy brat pytał nieraz, dlaczego? Odpowiadałem mu krótko, że dlatego, — bo tak.

— Ale dlaczego?

— Dlatego, że mi się tak podoba.

Właśnie wtedy bardzo się moje sprawy popsuły w matematyce i w łacinie. Matką moja pojechała (bo mieliśmy wtedy powóz) razem ze mną do naszego dyrektora gimnazjum, który wszystko wiedział, wszystkich znał, gdyż chodził zawsze po całym budynku w cichych, filcowych pantoflach.

Dyrektor wziął mnie pod brodę, wogóle rozmawiał bardzo uprzejmie i zalecił mamie kilku korepetytorów z klasy mego starszego brata. W liczbie tych by także niejaki Sontag.

Przed jedno n, bardzo zdolny, ale Żyd.

Mama, zrobiwszy miłosierny ruch ustami, chciała przede wszystkim wiedzieć, który z tych chłopców jest najbiedniejszy. Który jest, jak się wyraziła, w najcięższym położeniu materialnym.

— Jeżeli pani o to chodzi, — oświadczył pan dyrektor, — to najbiedniejszy jest niewątpliwie Sontag.

Sontag był synem starego kamizelkarza, oczy-

wiecie także Żyda, ale już prawie całkiem ślepego.

— Oni tam podobno nie mają nawet gdzie mieszkać, i właśnie syn utrzymuje poniekąd swych rodziców z korepetycji.

— W takim razie, panie dyrektorze, — powiedziała moja matka, — niech już chyba będzie ten Sontag.

Doskonale pamiętam, jak była tego dnia ubrana. Miała piaskową suknię z jedwabnym fioletowym przodem, woalkę na czoło odwiniętą. W rękę trzymała pęk alpejskich fiołków.

Nie nie powiedziałem, dopiero kiedyśmy wsiedli do powozu, rzuciłem przez zęby jedno jedyne słowo:

— Parch.

— Co ty mówisz? — pochyliła się nade mną matka. — Coś ty powiedział?

Mruknąłem, że nie.

Nazajutrz po południu przyszedł Sontag na lekcję. Chociaż ojciec jego był krawcem, nie stolarzem, zdawało mi się, że mój korepetytor pachnie stolarskim klejem. Klejem stolarsko-żydowskim, to znaczy jeszcze mocniejszym i nieznośniejszym.

Sontag miał zrosnięte brwi nad niebieskimi oczami w czerwonych obwódkach. Zauważyłem, że gdy mówi, robi mu się coś w ustach, coś mu się tam klei i lepi.

Rzecz bardzo nieznośna.

Odziany był nader nędznie, — wszystko wyszarzałe, przetarte i pocerowane. Byłem zdziwiony, że tyle zbrodni i łotrostw, które popelnia jakiś naród, nie może temu narodowi zapewnić nawet porządnego przyodziewku.

— Z pewnością nosisz kamizelkę pod mundu-

rem? — zauważyłem, chcąc w ten sposób zwrócić Sontagowi uwagę na lichą kondycję jego ojca, kamizelkarza.

— Naturalnie, że noszę — odpowiedział Sontag, — o wiele cieplej w kamizelce. — Rozpiął granatową bluzę i pokazał starą watowaną kacabaję. — A ty?

— Ja nie noszę — odrzekłem z pogardą, postanawiając równocześnie, że dla takiego Żyda na złość nie nie będę rozumiał.

Dotrzymałem sobie obietnicy na tej lekeji i na wielu innych przez kilka długich tygodni.

Objasniał mi matematykę. Tłumaczył, na czym tylko mógł: na jabłkach, śliwkach, orzechach. Żyły mu wychodziły na skronie, a czerwone powieki drżały tak prędko, że chyba musiały mu robić mały wiatr koło oczu.

— Rozumiesz teraz? — pytał, wyciągnąwszy do mnie zmarznięte dłonie.

— Nie rozumiem, — odpowiedziałem spokojnie.

Z czasem Sontag poznał mnie już trochę i zaczął „wykrywać”, że udaję. Poznawał to z mego spojrzenia. Wtedy obrałem sobie kilka punktów, by patrząc na nie, nie pokazywać mu oczu. Punktami tymi były: obraz Juliusza Kossaka, wiązanka szarotek nad kanapą, metalowe kółko nogi fortepianu i czarna kropka, którą mam od urodzenia na przegubie lewej ręki.

W danej chwili Sontag zasłonił mi tę kropkę własną dłonią.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknąłem z wściekłością.

Utkwił we mnie zdumione spojrzenie. Rozwartymi oczami patrzyliśmy na siebie, aż mu powie-

działem bezczelnie, prosto w nos:

— Moi koledzy mówią, że mam za korepetytora parcha.

— Twoi koledzy są głupi.

— No to są głupi, ale dalej *nie rozumiem*.

Nieraz przychodził mój starszy brat, kolega Sontaga, i razem mi tłumaczyli. Brat bardzo mnie prosił, bym starał się zrozumieć, bo Sontag ma jeszcze oprócz mnie różne inne lekcje. Kiedyż wróci do domu i kiedyż uczyć się zacznie sam dla siebie?

O to mi właśnie chodziło, by nie miał czasu uczyć się dla siebie, by zgłupiał, by sam też nic nie umiał!

Kiedy przyszło przystawanie trójkątów, mężczyźnie Sontaga podwoiły się, a może nawet potroiły. *Nie rozumiałem nic* od początku do końca. Wieczór już zapadł, już uczyliśmy się przy lampie, ja, na niby oczywiście — ani w ząb.

Sontag tak się usadowił, że mógł mi patrzeć prosto w oczy, a potem razem patrzymy prosto w zeszyt. I tak od literki do literki, od kąta do kąta, od powierzchni do powierzchni, — aż nagle uśmiechnąłem się. Chwycił mnie za rękę i krzyknął:

— Teraz widzę, rozumiesz! Rozumiesz!

Rozumiałem, ale wściekłość mną wstrząsnęła tak gwałtowna, że już nic nie myśląc, uderzyłem go w twarz.

Chwycił mnie za rękę, upadliśmy na dywan. Ścisnął mnie za przeguby z całej mocy swych chudych, zimnych palców i krzywiąc boleśnie twarz, płakał. Ja też — naprzeciw niego, nos w nos.

Miałem niezrozumiałe, mokre od łez słowa, leżeliśmy tak, póki w futrze, zaśnieżony jeszcze, nie wszedł nagle mój ojciec.

Pamiętam doskonale pierwsze jego słowa:

— Cóż to takiego znowu?

Na to otwarły się drzwi jadalni, i wbiegła matka Sontag i ja staliśmy znowu na środku dywanu.

Ojciec, jakby Sontaga wcale nie było w pokoju, spytał od razu mnie:

— Dlaczego płaczesz?

— Bo mu dałem w twarz.

— O, — rzekł mój ojciec, — to wspaniale. — Zapalił papierosa i dodał:

— A za co?

Nie odpowiedziałem.

— Więc jakże? — spytał wtedy Sontaga.

Nie mogąc już wytrzymać, krzyknąłem:

— Dałem mu w twarz, bo zrozumiałem!

Ojciec usiadł na kanapie, pociągnął do siebie lekko Sontaga, oparł rękę na jego ramieniu i powiedział parę słów, ale takich, że do dziś noże mi się od nich obracają w piersiach. Powiedział, że ojciec Sontaga kocha swego syna, tak samo, jak mój ojciec mnie kocha. Że matka Sontaga, kocha swego syna, jak moja matka mnie. Że gdyby stary kamizelkarz zachorował, jego syn Sontag cierpiałby nad tym tak samo, jak ja nad chorobą swego własnego ojca.

— Rodzice i dzieci, — nie ma nic innego na świecie, tylko to.

Trzy razy powtórzył: — Tylko to. Tylko to. Tylko to.

Po czym mój ojciec, który nas, swoich synów, tak rzadko całował, objął za szyję Sontaga, pocałował go w czoło i, zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Za takie rzeczy nie warto nawet karać, można tylko współczuć. Nic więcej.

Z oczami pełnymi uciekłem z salonu do kuchni, potem, choć to była zima, aż na strych. Tu mnie znalazła matka i sprowadziła na dół.

Poszliśmy jeszcze tego samego dnia do sklepu z kwiatami, a potem pojechaliśmy do starych Soutagów.

Sam zaniesiesz, — powiedziała mi mama w bramie starego, ciemnego domu. — Przecież to właściwie tylko twoja sprawa.

Poleciałem na górę, czuć tam było cebulę i czosnek, dopukałem się nareszcie do drzwi, które otworzył stary, siwy Żyd.

— To od mojej matki dla pani Sontagowej, — zawołałem na progu i, położywszy białe róże tuż obok żelazka na długim stole krawieckim, uciekłem.

Profesor

O wszystkich innych profesorach wiedzieliśmy coś, to, tamto, owo, może nie wielkiego, — aleśmy wiedzieli. Coś ludzkiego, zwykłego, osobistego. Nasz przyrodnik bał się szkieletu, profesor niemieckiego był pijakiem, łacinnika odprowadzały zawsze do gimnazjum jego dwie małe córeczki, katecheta był domowym prałatem papieskim, fizykowi nie udawały się nigdy doświadczenia, historyk zwalczał papieżstwo, matematyk był synem chłopca, dyrektor chodził w filcowych pantoflach.

O Gorzkowskim — nic. Nawet ubrań na lato nie zmieniał, zawsze w tych samych wysiedzianych spodniach, w tym samym żakiecie, w tej samej czarnej krawacie. Nawet nas z twarzy nie pamiętał, wywołując tylko według nazwisk ze spisu.

Był zawsze taki sam, zawsze tak samo patrzył

półprzymkniętymi oczami, czy to gdy „tłukł” z nami aorysty, czy gdyśmy Homera „rozbierali”, czy gdy się Xenofontowi zaczynał pokazywać „na piątej parasandze świeży poślad koński”. Nawet notes miał Gorzkowski przez parę lat ten sam, tak samo równo obsiany na wszystkich stronicach pokureczonymi „stopniami”.

Na wiosnę i w lecie można było jeszcze jakoś wytrzymać na jego godzinach, ale późną jesienią czy w zimie ludzie się urywali. Był tak nudny, że nie warto było dokazywać. Kipieliśmy więc nad opisem tarczy Achillesa, łykając tak straszne ziewy, że nam od nich szczęki wyskakiwały ze stawów.

Nuda, którą umiał roztaczać Gorzkowski, była tak potężna, tak w swoim rodzaju znakomita, że ogarniała nas już zawczasu nawet przed jego przyjściem.

Któż nie zna niebywałych wspaniałości krótkiej chwili między dzwonkiem a nadejściem profesora?! Wtedy właśnie wymienia się najlepiej pióra, marki, książki. Ale przed nadejściem Gorzkowskiego nie się w tym czasie nie dzieje. Ludzie patrzą w mętne, zapotniałe szyby i śpią.

Otwierają się drzwi, wstajemy i nawet nie patrzymy na niego. Po co, — nie zmienia się, jest zawsze taki sam, tak samo stąpa, tyle samo kroków daje zawsze od drzwi do katedry.

Dziś, choć był tak samo ubrany i dał tyle samo kroków, nie siadł. Dalej stoi. Czekamy, aż padnie zwykle, martwe: — Siadać!

Siadać — nie pada.

Gorzkowski spojrział w zapocone okna i wodzi mętным przepisowym wzrokiem pomiędzy ławkami. Zaczyna od prymusa Barańskiego, wzdłuż

pierwszej ławki przeszedł już między średniakami, zlustrował wszystkich dryblasów na szarym końcu sali.

Co dalej?

Nic.

Ogląda ściany.

Nagle wyrzucił przed siebie ręce leciutko, jakby łapał motyla, roześmiał się do siebie cichym, bladym śmiechem i rzekł powoli w senną ciszę klasy:

— Mamy syna.

Nikt nie odpowiedział. W pierwszej chwili nie rozumieliśmy po prostu, co to znaczy. Czy „mamy syna” będzie musiał zaraz ktoś na grecki przetłumaczyć, czy jest to tytuł zadania, czy początek serii jakichś nowych wyjątków.

Gorzkowski stulił przy sobie ręce i, długą szyję wyciągnawszy z luźnego kołnierzyka, powtórzył nieśmiało:

— Mamy syna.

Klasa jako taka nic jeszcze nie odpowiedziała. Tylko stare dryblasy z szarego końca, którym wogóle na niczym nie zależało, spytały z ostatnich ław:

— To znaczy, że pan profesor ma syna?

— Tak — odpowiedział Gorzkowski, kładąc ostrożnie swój czarny notes przed sobą. — Mamy syna od dziś, od piątej rano.

— Ten ci będzie znał grekę! — huknął w zupełnej ciszy najstarszy z dryblasów.

Słowa „ten ci będzie znał grekę” okazały się hasłem dla całej klasy. Nie siadając, stojąc dalej w ławkach, zaczęliśmy teraz na wrywki pytać Gorzkowskiego o wszystko. Czy już „od razu” mówi syn pana profesora, czy ma wszystkie włosy

na głowie, czy nie ma sześciu palców u ręki, czy już odmienia pajdeuo, jakie powiedział pierwsze słowo???

— Jak mówi? jak mówi? — huczała cała klasa.

Gorzkowski wyrzucił przed siebie chude, żółte ręce, jakby znów łapał małego motyla. Ucichliśmy natychmiast. Zapatrzył się w ścianę, zmarszczył czoło, podniósł wysoko szare „zakurzone” brwi, przypominając sobie z ogromnym trudem coś, co należy koniecznie powtórzyć.

— Jak mówi? Naturalnie, że nie mówi po grecku. Ani wcale po żadnemu. Mówi — au, — au, — au. — Zapatrzony w ścianę, jął Gorzkowski cicho, nabożnie skrzeczeć, udając kwilenie małego dziecka.

Klasa wybuchła żywiołowym rykiem. Tłukliśmy z radości w ławy, tupaliśmy, książki spadały z pulpitów, latały w powietrzu. Ktoś przeszedł do tablicy i napisał pośpiesznie: Niech żyje syn pana profesora Pajdek!

Nawet Barański śmiał się i ze wszystkimi krzyczał.

Dryblasy biły się po głowach, kurz mieszał się z krzykiem. Największy z dryblasów Faliszewski stanął nagle na ławce i wrzasnął w imieniu całej klasy na całe gardło:

— Prosimy pana profesora, żeby syn pana profesora był także profesorem!!

I wtedy stała się ta straszna a przez nikogo nieoczekiwana rzecz. Gorzkowski porwał z katedry swój notes, cisnął nim o ziemię i ryknął:

— Milczeć!!!

Zapatrzony w ścianę, jakby nie do nas, a do tych murów szkolnych wołał, aż mu się w piersiach obrywało:

— Raczej kamienie będzie na drodze łupał, —
raczej kamienie!...

Chcieliśmy sobie z tego nic nie robić, już nawet
któryś z dryblasów wrzasnął — niech żyje kamie-
niarz! — gdy drzwi się otwarły i w cichych filco-
wych pantoflach wkroczył sam pan dyrektor.

SŁAWA

(Czyli prawdziwa opowieść o człowieku, któryby chętnie robił co innego)

Dawno już było nakryte do obiadu, a ciągle jeszcze musieliśmy czekać. Mama raz po raz zaglądała do kuchni i wracała z odgrzаныmi wypiekami na twarzy.

— Mówię ci, że przesiąkniesz zapachem — złościł się ojciec, — u nas zawsze wszystko musi być w małomiejskim sosie.

Jeden Tomasz nie tracił spokoju. Wszystkim leciało ciągle wszystko z rąk, Tomasz chodził poważnie dookoła stołu, jak przed Święconem. Niby coś poprawiał. Tu przelożył widelec, tam obrótnał serwety, ale głównie podciągał białe niciane rękawiczki.

— Bo, proszę pana doktora, nigdy się toto nie trzyma na rękach. Spada z człowieka, za przeproszeniem, jak za duże portki.

— Nie będziecie do stołu podawali w skórzanym rękawiczkach, — odpowiedział mój ojciec, przechodząc z jadalnego do salonu.

Przed każdymi ważnymi gośćmi lustrował wszy-

stkie pokoje, dając ostatnie dotknięcia. Pobiegliśmy, aby "razem odbyć" salon, kancelarię i pokój matki, przygotowany dla stryjostwa.

Dla mego stryja śpiewaka i dla jego żony, stryjenki.

— Ciągłe jeszcze jada, — zawolałem, patrząc na łóżka rodziców, pożyczone gościom.

Nakryte były turecką makatą, która dotąd wisiała w salnie na honorowym miejscu.

— Nie tylko jada, ale możnaby powiedzieć — ojciec wyciągnął z kamizelki złoty zegarek, — że poniekąd już dojeżdżają.

Od chwili, gdy przyszła depesza, ciągleśmy się pytali o ową jazdę. Gdzie są teraz? Gdzie za godzinę? Gdzie za dwie godziny? Musieliśmy nieustannie czuć zbliżanie się przyjazdu. Tyle było ciągle nieoczekiwanych przerw. Zbliżają się, zbliżają, tymczasem okazuje się, że znów przestają jechać.

Cały dzień mieli być w jakimś niemieckim mieście, gdzie stryj występował wieczorem.

— Nie boi się przed tyloma obcymi, Niemcami? — spytałem nagle, o zmroku, w kancelarii.

— Może się boi, ale on nigdy nie pyta, tylko wali śmiało naprzód i basta.

Wali naprzód!

— Wali naprzód przed obcymi Niemcami?

— Ma się rozumieć. Ojciec podniósł z podłogi zapalną. — Co ty sobie właściwie myślisz? Że Niemcy, to niby co?

— Nic nie myślę, — odpowiedziałem, — ale zawsze...

— Ale zawsze? No więc cóż z tego? Niemiec nie Niemiec, Czech nie Czech, Włoch nie Włoch, bójno ty się Boga, wobec takiego głosu?!

Przerwa w zbliżaniu się przyjazdu sprawiła, że mieliśmy wcale nie pójść do szkoły. Całe popołudnie bawiliśmy się świetnie, a wieczorem odbył się przegląd naszych papierzanych żołnierzy. Przyjazd stryja wyłonił się znowu dopiero po kolacji. Wtedy to ojciec odsunął filiżankę herbaty, złożył gazetę, popatrzył na zegarek i powiedział:

— Tak, tak, — teraz już śpiewa.

Tu u nas nie mogło być słyhać, ale mama zapatrzyła się w lampę i, uśmiechnawszy się, słuchała.

Pozegnaliśmy się, umyli i poszli spać.

Już zasypiałem, gdy mój starszy brat, Irzek, podniósł się na łóżku i kazał mi być cicho.

Lampka oliwna pstrykała na oknie.

— Ciekawym, czy jeszcze śpiewa? — szepnęła tajemniczo.

Przyłożyliśmy uszy do ścian, Irzek bowiem twierdził wtedy, że mury są doskonałym przewodnikiem. Słyhać było przytłumione chodzenie po dywanie. Zawołaliśmy głośno, obaj naraz.

We drzwiach zjawił się ojciec.

— Czy jeszcze śpiewa? — spytał Irzek.

— Cóż to znowu za głupstwa? Spać mi tu zaraz! — Po czym, spojrzawszy na zegarek, ojciec nasz westchnął i powiedział: — Kwadrans na jedenastą. Tak, teraz śpiewa trzeci akt. Dobranoc.

Przyłgnęliśmy posłusznie do poduszek. Po wyjściu ojca Irzek powiedział: — Śpiewa trzeci akt. To znaczy, że przedstawienie jest w trzech aktach. Albo w czterech? Albo może w pięciu?

Więcej nie słyszałem, gdyż usnąłem. Nazajutrz od rana zaczęło się jeszcze raz sprzątanie połączone z nakrywaniem. I tak trwa do teraz. Teraz

Tomasz chodzi w białych rękawiczkach dookoła stołu, ojciec robi ostatnie dotknięcia, a ci, jak nie przyjeżdżają, tak nie przyjeżdżają.

— Więc na przykład, — spytałem podstępnie, — ile mogą mieć jeszcze stacji do przebycia?

— Na stacje biorąc, — odpowiedział ojciec, — sędzę, że z jakie dziewięć.

— Dziewięć! — jęknęliśmy.

— Dziewięć, ale stryj jedzie kurierem. Nie zatrzymuje się po drodze byle gdzie.

Na każdym kroku robi nasz stryj coś niezwykłego. Zajeżdża do wszystkich miast i śpiewa, a potem nagle nie zatrzymuje się nigdzie.

Z sypialni pobrodził ojciec (przeгляд mieszkania nazywał się także brodzeniem) do gabinetu, podarował nam mimochodem kilka kalendarzy lekarskich i razem z nimi poszedł do naszego pokoju, do dzieciarni.

Wszystko tu było w porządku, ławka szkolna stała równo pod oknem, ale ojciec na widok półki z zabawkami wykrzyknął:

— Ba!

„Ba” nie znaczyło w tym wypadku nic dobrego. Zaczęliśmy jeszcze raz ściągać wszystko z półek, tymczasem na progu w czarnej sukni, obszytej białym puchem, ukazała się mama. Miała białą różę we włosach.

— Chyba już nie przyjadą dzisiaj. — Złożyła po swojemu ręce.

Ojciec podniósł głowę, równocześnie zadzwonił dzwonek w przedpokoju, wielki nakręcany bąk wypadł mi na podłogę. Podskoczyliśmy do drzwi, w których ukazał się najspokojniej na świecie Tomasz ze słowami:

— To do pana doktora.

Stanęliśmy, jak wryci, ojciec uderzył się w czoło aż klasnęło:

— Mówilem Tomaszowi, — żadnych chorych! Czy może być coś prostszego, mówiłem tak wyraźnie.

I tak jakoś z wielkiego czekania zrobiło się zwykłe porządkowanie.

— Wszystko, wszystko musi być w porządku, — powtarzał ojciec. Zwijaliśmy się przed półką, zapychając niewygodne rzeczy w dalekie ciemne kąty.

Na szczęście nie patrzył na nas. Gniewał się na mamę za różę.

— Nie znam się na waszych modach, — te jakieś piórka, obszycia, zakrętasy! Ale żeby ktoś bez żadnego powodu kładł sobie kwiaty na głowę? Zresztą róbcie, co chcecie.

Chociaż to się nas nie tyczyło, odpowiedzieliśmy, że na najwyższej półce zrobimy miejsce dla prezentu stryja. Napewno coś przywiezie.

Ojciec skrzywił się wyniośle:

— Jeżeli ktoś przyjeżdża, trzeba się cieszyć, że przyjeżdża dana osoba, a nie wiecznie myśleć, co nam dana osoba przywiezie.

Mimo to Irzek wyścielił półkę czystym, złotym papierem. Po kryjomu równało się to „umiecieniu przez tubylców wigwamu na cześć dawno oczekiwanego gościa”. Właśnie świeży arkusz przybiliśmy na wierzchu, gdy rozległ się krótki, ostry dzwonek. Jak ukłucie.

— Teraz napewno oni! — krzyknął ojciec.

Rzeczywiście był to już stryj, — ale chyba nikt na świecie nie umiał tak otwierać drzwi przedpokoju, jak nasz Tomasz!

Stryj trzymał w jednej ręce podróżną czapkę, w drugiej psa na smyczy. Zza olbrzymiego futrzanego kołnierza stryjowskiego widać było stryjenkę w jakiejś czarnej atlasowej pierzynie. Z tyłu tłoczył się ich syn, mały, mniej więcej, jak ja.

W czerwonej czapeczce.

Ojciec czekał na środku przedpokoju z rozwarzonymi ramionami. Myśmy się schowali za ceratową kanapę Tomasza. Na schodach słychać było ciężkie stąpanie kilku ludzi, którzy coś nieśli.

Pewno kufry z prezentami!

Stryj nie skoczył w ramiona ojca i w ogóle, jakby nikogo nie zauważył. Pochyliwszy się nad białym psem w czarne łąty i kropki, powtarzał raz za razem:

— Ledi, Ledi, prosimy o spokój. Tu też znajdują się cielęce kotleciki. Tu się też dla nas znajdują cielęce kotleciki.

Nie chodzi o to, co mówił, ale jak! Jego śliczny głos wypełnił od razu cały przedpokój.

— Widzisz, mój drogi, — teraz grzmiał do ojca, — panna Ledi jest tak zdenerwowana!

Piesek zaskuczał, stryj ukląkł prawie i też zaskuczał. Tymczasem stryjenka całowała się z naszą mamą, a syn stryja, nasz brat, czekał, zawinięty szalem, aż go odkręcą. Ludzie wniesli do przedpokoju trzy ogromne kufry okute. Tomasz wspaniale rozkazywał, pokazując drogę do mieszkania.

Stryj „za całe przywitanie” pogłaskał nas tylko po głowach.

Nareszcie odbyło się wejście.

Mama ze stryjenką poszły pierwsze, za nimi stryj z ojcem, za nimi my. Pytaliśmy po drodze nowego naszego brata, Karola, czy są jakie prezenty?

Były, i to podobno wspaniałe. Nie dało się o tym dłużej mówić, bo ojciec usłyszał już trochę i srogo zmarszczył brwi. Przestaliśmy od razu, tym bardziej, że żal nam teraz było ojca.

Był mniejszy, chudszy, cichszy od śpiewaka, na pewno biedniejszy. Stryj miał bródkę zaostrzoną w dwa złote różki, jak święty z obrazka, ojciec zwykłą brodę w jeden różek. Stryj pachniał, nie wiadomo czym, bo nie była to perfuma. Może te wszystkie miasta, cała droga daleka, przez którą jechał, może nawet trochę sam głos w nim pachniał?... Ojciec nasz tylko sobą i zwykłym doktorskim karbolem.

Stryj właściwie nie szedł, lecz stapał, jak trzej królowie - monarchowie, to patrząc pod nogi, to odbijając się wzrokiem dumnie pod górę. Niby ku wybranej gdzieś gwieździe. Ojciec szedł zwykłym, uważnym — krokiem. Właściwie wyglądał na o wiele gorszego i słabszego stryja.

Gdy siedli w salonie na naszych morelowych fotelach, ojciec nasz wziął zaraz Karola na kolana. A stryj? Nic podobnego! Jakby nas wcale nie widział. Siedział dla siebie samego, a i tak zrobił od razu rzecz, z powodu której nie mogliśmy oczu od niego oderwać...

Natężył się lekko i przerzucił w sobie głosem. U innych ludzi nazywa się to zwykłym chrząknięciem. Ale stryj nie chrząknął, tylko jakby złoty kamień potracił w sobie i na lepsze miejsce przestawił.

Można było słuchać tego przedstawiania bez końca.

Stryjenka otworzyła drzwi, — że ludzie od kufów czekają na pieniądze. Stryj jęknął groźnie a

prześlicznie, ojciec wstał i poszedł zapłacić.

Zostaliśmy przy stryju tylko my, Karol i Ledi.

Karol bawił się otwieraniem i zamykaniem klawiatury. My z Irzkiem staraliśmy się przypochlebić Ledi. Głaskaliśmy ją po czole i za uszami. Warczała spodełba.

Stryj ziewnął, przeciągnął w sobie strunę i spytał, czy uczymy się grać?

— Bo, — dodał, pokazując palcem Karola, — mój pan Karol jest niemuzykalny, jak pień.

Nie śmieliśmy nic odpowiedzieć, zresztą stryj wcale na to nie czekał.

— Patrz, Karolu, — rzekł, — jak wyglądają twoi bracia?

Naturalnie, — mieliśmy dziś nowe ubrania.

— A ty zawsze obdarty i brudny, jak szewc!

Karol cicho odszedł za fortepian.

— Prawda Ledi, jak szewc!

Zazdrościliśmy jej z całego serca. Trzymał ją na kolanach i ciężkimi rękami gładził po nogach, śmiejąc się: — cielece kotleciki, cielece kotleciki.

Nagle zepchnął psa i, wsłuchawszy się uważnie w powietrze naszego pokoju, zaśpiewał, a raczej powiedział do samego siebie parę liter.

Były tak dźwięczne, że od razu jakby się od nich rozszedł blask po całym salonie.

Na to ukazał się w drzwiach ojciec i zawołał:

— Ho, ho, ho! — Ale mama już jest, przejdziemy do jadalni.

Mama mego stryja i ojca, czyli nasza babka czekała w stołowym, żeby ukochany syn przyszedł do niej pierwszy. Później, przy czarnej kawie opowiadała, że podczas tego czekania serce jej chciało wyskoczyć z radości.

Na przywitanie babki patrzyliśmy z oburzeniem. Nigdy nie potrafiła witać się tak z naszym ojcem. Stryj trzymał w jednej ręce sznurek od Ledi, drugą przyciskał babkę do siebie, wznosząc ostrożnie złotą bródkę nad czarnymi szkielkami babcinego czepca. Głaskała syna po włosach. Z płaczem przysuwała go do siebie i odsuwała.

W tabaczkowym, szorstkim ubraniu wyglądał chyba, — jak wspomniały dąb.

Wszystko, co było w naszym domu nowego, najlepszego, chowanego tylko na największe święta, wystąpiło dzisiaj do stołu. Nigdy nie myśleliśmy, że się tak trzeba wszystkim z gośćmi dzielić. Gdyby nie mama i trochę, trochę Tomasz, nie jedlibyśmy nic przy tym obiedzie.

Ledi dostała przed nami specjalny kotlecik cielęcy, skrobany. Zresztą wszyscy słuchali stryja. Jadł tak samo, jak mówił, patrząc od czasu do czasu w górę, mimo lampy, w jakieś inne, jeszcze większe światło, niby w wybraną gwiazdę. Musiał ją po swojemu dostrzegać, bo mu się powieki same ostro mrużyły.

Opowiadał rzeczy, które nas zachwycały, choć nie rozumieliśmy z tego wszystkiego ani jednego słowa.

Były tam dalekie miasta o dziwnych nazwach, wyprzedane sale, zachwycone tłumy, jacyś dyrektorzy, przy których stryj prawie stale wymawiał słowo szubrawcy, mimo że mu babka niespokojnie wskazywała na nas oczami. Były światła, kulisy, kwiaty, wieńce, łoże, różne obce języki. Mieszały mu się w opowiadaniu, jak srebrne papierki cukierków, które zginał w palcach.

Po obiedzie Karol przyznał się w dzieciarni, że

nigdy jeszcze w życiu tak dużo nie jadł, jak dziś. Jeszcze mu dotąd bije serce od tyłu znakomitych potraw. W zakładzie, w którym był, prawie nic nie jedzą.

Może być, — miał bardzo chude policzki. Pokazaliśmy mu kołnierze naszych ubrań, które nam matka wyhaftowała.

— Ja mam zawsze ten mundur, — Mruknął z pogardą, szarpiąc na sobie bluzkę.

Zazdrościliśmy mu munduru i że już nie wymawia kilku polskich liter. Irzek pierwszy to odkrył. Poszliśmy do salonu, żeby to powiedzieć mamie. Nie dla skarżenia, ale jako ciekawą rzecz. Staaliśmy cierpliwie koło jej fotela, czekając, aż się zrobi przerwa w rozmowie.

Stryj ciągle jeszcze opowiadał.

Nareszcie zrobiła się przerwa i już mieliśmy szepnąć o Karolu, gdy właśnie w tę przerwę wsunął się cicho głos babki.

— Tak nam to opowiadasz i opowiadasz, a czy byś nie chciał zaśpiewać czegoś?...

Stryj zbladł i krótko zapytał: — Co?

— Myślałam sobie po prostu...

— Teraz, po obiedzie?! — krzyknął ostro. — Wam się wszystkim zdaje, że śpiewać, to to samo co spać, jeść.

Przestraszyliśmy się.

— Myślałam po prostu, że sprawi ci to przyjemność.

Krew mu uderzyła do głowy i powiedział dobitnie:

— Życiem przypląca się, mamu, tę przyjemność.

Wobec tego ojciec nasz uznał, że trzeba się przejść. My z nimi, — Ledi, Irzek, Karol i ja.

Stryj w cylindrze, ojciec w meloniku, Karol w czerwonej czapeczce i Ledi na smyczy. Przy polowie piętra stryj zatrzymał się i parę razy przedrzeźniał: — Zaśpiewaj, zaśpiewaj, zaśpiewaj! Wszystkim wydaje się to takie proste...

Obeszliśmy dokoła Sukiennice. Ze względu na głos stryj nie podczas całego spaceru nie mówił. Odezwał się tylko raz w cukierni, gdzie kupowaliśmy ciastka:

— Mój Boże, jakaż to malizna.

Pierwszy raz wtedy wstydziliśmy się naszego kochanego miasta.

— Jedno tylko macie śliczne, — zaśmiał się później ukradkiem na ulicy Brackiej, — to ten śnieg.

Zakutany po uszy, wyciągnął dłonie i patrzył, jak mu spadają na palce białe, lekkie płatki.

— Na całym świecie nie ma chyba takiego śniegu.

I tak, we wspaniałym futrze, czekał z przymkniętymi oczyma i z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Na ulicy Brackiej wstąpiliśmy do innego mego stryja, profesora i jego małej córki, Ady. Miał oprócz tego jeszcze synów i żonę, ale naprawdę liczyła się tylko Ada. Nie podobał się jej stryj - śpiewak. Krzyczała cały czas, a on się z nią drażnił, jak z małym zwierzątkiem. Zdawało się w końcu, że się już pogodzili. Wziął ją na ręce. Właśnie wtedy ugryzła go w palec tak mocno, że aż krew poszła.

Wizyta u profesora, jak z tego widać, nie bardzo się udała i wieczór spędziliśmy w domu przy kominku. Stryj zasiadł obok mego ojca. Rozwalił

się przed płonącymi szczapami. On jeden chyba umiał tak trzymać rękę nad ogniem, — jakby błogosławił płomieniom.

W pewnej chwili zawezwano go do sypialni, żeby coś zrobił z kuframi. Nie mogą tak stać wiecznie. Poszliśmy wszyscy. Sterczały na środku wielkiego pokoju. Kluczyki od nich nosił stryj na specjalnym złotym łańcuszku.

— Rozumiesz mnie, — prawil do ojca, chodząc koło skrzyń, jak ksiądz koło ołtarza, — możesz śpiewać anielsko, wszystko na nic, jeżeli się im nie dasz napatrzyć. Rozumiesz? Muszą się najeść oczyma. Ileż razy na scenie czuję, czuję po prostu, że mnie jedzą.

Śluchaliśmy tego ze zgrozą.

Pootwierawszy skrzynie, zaczął wydobywać kostiumy. Stryjenka chciała pomóc. Krzyknął, a raczej zatrąbił na nią złotym głosem tak srogo, że od razu wróciła na swe krzeselko.

Nigdyśmy jeszcze takich skarbów nie widzieli. Ze skrzyń wypływały całe rzeki jedwabiu, niby delikatną pajczyną, oprzędzonego haftem.

— Wszędzie ręczny. Wszędzie prawdziwy. — Stryj wskazał palcem na stryjenkę. — Ona, ona. Całe miesiące pracy. Ha, trudno.

Rzeki jedwabiu, srebrne zbroje, chodaki nabijane szklanymi kamieniami, miecze, błyszczące tarcze, kilka prześlicznych peruk z długich „żywych włosów”.

Tomasz musiał uprzątnąć z szafy rzeczy moich rodziców. Wstawiało się tam ostrożnie królewskie szaty mego stryja, który, przekładając z ręki do ręki pyszne materie, przymykał oczy, ostrym

światłem żrenie odnajdywał wybraną gwiazdę i śmiał się:

— Rozumiesz? Blask, blask, wszystko jest w tym blasku.

Nagle okazało się, że na dnie jednej ze skrzyń jest naprawdę coś dla nas.

Co?

Cała kolej!

Była to kolej, nieomal prawdziwa, ze składanymi szynami, zwrotnicami, stacjami, świetnie nakręcana, na ciężkich kołach, lanych z prawdziwego żelaza.

Nawet Karol wylazł teraz z ciemnego kąta. Chcieliśmy ją zabrać i przede wszystkim postawić na wyścielonej półce.

Stryj nie dał. Musiał przedtem wszystko sam pokazać.

Usiedli razem z ojcem na podłodze, zestawili szyny — i pociągi zaczęły jeździć dokoła foteli. Fotele nazywały się teraz imionami miast, w których stryj niedawno występował.

— Patrz, — wołał do ojca, — tu wysiadamy, tu się przesiadamy, a tu znowu mamy szalone powodzenie.

Nasz pociąg pilnie terkotał, stryj sunął za nim szybko po podłodze. Nie dali nam bawić się tego wieczora lokomotywą, a jutro rano trzeba było iść do szkoły. Mówiono z początku, że nie pójdziemy, ale stryj musiał się ćwiczyć.

Wtedy nie wolno być nikomu w domu. Ja zostałem — był to prawdziwy cud — z powodu zaczerwienionych migdałów. Rodzice wyszli na palcach, Tomasz pilnował przedpokoju, by nie dopuścić, broń Boże, żadnych chorych.

Zostaliśmy we dwoje, ja u siebie w łóżku, Ledi u stryja w salonie, gdzie właśnie pracował.

Dobrze, żem wytrzymał, żem z łóżka nagle nie wyskoczył i nie uciekł do Filipiny do kuchni. Z początku nic straszego. Brząkał tylko w klawisze. Ale potem brząkanie przeszło mu w głos, który piał się do góry i spadał, — piał się do góry i spadał, coraz większy, mocniejszy, — jak skała.

Cisza. Potem stryj nagle do samego siebie: — Nie, błźnie, jeszcze raz!

Skulilem się ze strachu na łóżku.

Głos znów zaczął się wspinać, lać, rozlewać, huścić w całym mieszkaniu, kruszyć i znów łączyć, niły roztopione złoto przepływać, póki Ledi nie zawyla. Wtedy otwarły się nagle drzwi salonu i, kopnięta z całych sił, potoczyła się, jak kłębek białej włóczki, od drzwi przez całą kancelarię, aż do naszego pokoju.

Na progu ukazał się stryj z okrzykiem — bydlę!

Był wspaniały i straszny. Oczy miał całkiem białe, nasycone wyteżonym światłem, twarz rozognioną, pełną najokropniejszej troski. Nie zamknął za sobą drzwi.

Chodząc tam i na powrót, toczył ze siebie i ciągnął, i kuł i hartował swój głos. To znów przystawał, wyrzucając w powietrze duże, białe dłonie, i jakby w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku, wołał: — Nie, nie, nie!!

Jeszcze raz ostrzył ogromne tony od początku. Wziąłem Ledi do łóżka, żeby cicho siedziała, — głos łamał się stopniami pod górę — pod górę. Stryj znów z rozpaczą wyciągnął ręce przed siebie. Plakałem, Ledi lizała mnie po twarzy. Siedzie-

liśmy we dwoje cichutko, gdy stryj nagle krzyknął w salonie:

— Cóż to za piekielna męczarnia!!!

Wlepiliśmy się z Ledi w poduszki. Przebaczyłem teraz stryjowi, że kopnął niewinne zwierzę, że nam nie dał pociągu, że rzeczy moich rodziców zostały wyrzucone z szafy, przebaczyłem mu wszystko, byleby wyszedł już raz nareszcie tym głosem, — jak mi się zdawało — na sam szczyt powietrza.

Rano mu przebaczyłem, a wieczorem darowałbym za darmo całe swoje życie. Sądzę nawet, że wszyscy, którzy wtedy u nas w salonie siedzieli i słuchali, tak samo by zrobili.

Ze wszystkich gości pamiętam tylko pana autora — ojciec na niego tak mówił — to znaczy pana Galla. Mówili sobie ty.

— I co ty na to, Gallu — pytał ojciec, przesiadając się krzesła na krzesło.

— Co ja na to? — Nie wiadomo. — Powiedział „nie wiadomo”, rozwinął napisane nuty i zaczął bębnić palcami po dużych czarnych kropkach.

Nikommu nie udawała się rozmowa. Babcie trzęsły się po prostu ręce. Żona pana Galla siedziała jak mumia. Stryj rozmawiał ze wszystkimi i coraz lekkim chrząknięciem przeciągał sobie w piersiach złotą strunę. W pewnej chwili powstał i powiedział:

— No więc proszę.

Pan Gall oddał nuty mojej matce. Wzruszyła ramionami, — że się wstydzi.

Zsunął swe siwe, długie włosy z jednej skroni na drugą i mruknął, że sam musi słuchać z daleka. Uciekliśmy z Irzkiem pod fortepian, gdzie zawsze siedzieliśmy podczas każdej muzyki.

O, — teraz stopy mamy spoczęły na złotych pedałach. Stryj stał bokiem do fortepianu i oddychał wysoko, jakby mu się w piersiach waga kołysała tam i na powrót. Był zupełnie blady, tylko uszy mu się czerwieniły. Słuchał nimi ostrożnie ciszy salonu.

Nagle pedał ugiął się pod pantofelkiem, tuż nad naszymi głowami przez grube pudło wytryskać jęły małe tony, niby krople, póki w nie nie wpłynął z cudownym szumem pełny strumień głosu mego stryja.

Szepiliśmy się z Irzkiem rękami.

Stryj śpiewał:

Gdzie wiosłem obróczę,
Tam pali, tam pali się toń!

Nie chodziło o te słowa, ani o to, że pan Gall zaczął gryźć własny kułak, i że ojciec wstał, jakby przez kogoś niespodzianie zawołany, ani, że babka skuliła się na fotelu. Ale zaczęły się nam ukazywać całe obce, jakieś światy kolorowe i różne dobre, szlachetne uczynki.

Pieśń umilkła, stryj podszedł do fortepianu. Przewracali nuty razem z matką, po czym wypłynął znów śpiew, tak ogromny, że już nie mogliśmy wytrzymać. Pierwszy wylazł z ukrycia Irzek, za nim ja. Podeszliśmy na palcach, żeby być jak najbliżej. Ojciec wyciągnął do nas groźnie rękę, ale już było za późno. Przyłożyliśmy uszy do kamizelki stryja i prosto stąd słuchaliśmy, jak w nim szumi piękny, gorący oddech.

Nic na to nie powiedział. Nawet mu nie drgnęła blada, nieruchoma twarz, usta dalej śpiewały.

Patrzyliśmy na jego oczy spod złotego łańcuszka kamizelki. W ostrym zwięzieniu coraz odnajdywały daleką, jakby gdzieś za czarnymi oknami salonu wynalezioną gwiazdę.

Skończyło się.

We drzwiach ukazał się Tomasz i Filipina. Zaczęła na cały głos błogosławić. Ojciec wypchnął ją za drzwi i tam nagle uściskał.

Zona pana Galla powiedziała:

— Trudno, dostałam gęsiej skórki.

Na co stryj, starszy pot ze skroni, — że to nie jest. Trzeba by jeszcze dodać gest, ruch, barwę, blask. Żeby *mogli* oczy wytrzeszczać. Oni, publiczność.

Postanowiono tego samego wieczora, że wystąpi przed *nimi* w Krakowie. Pan Gall zostawił cały plik nut, a ojciec powiedział mamie o stryju, wieczorem w jadalni, słyszeliśmy przecie na nasze własne uszy:

— Niech robi, co chce. Jemu wszystko wolno, ja się nie mogę oprzeć.

Słowa o opieraniu się powtarzały się coraz częściej. Prawie nie mieszkaliśmy w naszym mieszkaniu, tak dużo stryj ćwiczył. Ojciec prawie nie przyjmował chorych. Tomasz sam przyznał, że teraz nie wie, za co ma pierwiej łąpać. My też nie wiedzieliśmy, czego się uczyć, bo ciągle trzeba było pomagać Karolowi. I nie bardzo było gdzie się uczyć. Stryjenka zajęła całą dzieciarnię na haftowanie płaszczów koronacyjnych.

Ale ojciec stale odpowiadał mamie, — że nie może się oprzeć.

Nie dziwiliśmy się temu. My też, zobaczywszy nasze własne nazwisko pewnego pięknego ranka

wylepione na murach, nie mogliśmy się oprzeć. Koleźy pękali z zazdrości. Wróciwszy do domu, rzuciliśmy się stryjowi na szyję.

Wydał pogardliwie usta, — przecież to i tak będzie skandal, gdzież tu śpiewać i przed kim w takiej nędznej mieścinie?!

Baliśmy się strasznie teraz o nasz Kraków, choć ojciec ciągle dowodził stryjowi, że się miasto nie poszkapi.

— Zobaczysz nabita salę — kończył taką rozmowę.

Zastanawialiśmy się, w jaki sposób będzie sala nabita. Irzek sądził, że będą puszczać sztuczne ognie na cześć stryja. Nie mówiliśmy o tym nikomu, bo i tak teraz ciągle wszystkim przeszkadzaliśmy.

Jak ojcu chorzy. Zamiast czełkać na nich po południu, brał nas ze sobą na spacer, a właściwie do teatru. Patrzyliśmy, jak czarny ogonek kupuje bilety i czy kupują „na stryja”.

Na dzień przed koncertem ojciec sam stanął w ogonku, i cierpliwie, ze wszystkimi posuwał się do okienka. Kupił dużo niebieskich biletów i oznajmił stryjowi podczas podwieczorku:

— Mówiłem ci, że się miasto nie poszkapi. Czy już wiesz? Buda wyprzedana.

W dzień koncertu mieszkaliśmy u babki, na Kar-melickiej ulicy. Stąd pojechaliśmy do teatru na koncert. Była masa ludzi wszędzie. Gucio powiedział nam, że gdy się jeszcze więcej zapełni, przyjadą strażacy i przywieszą ławki do żyrandola, wiszącego u stropu. I dopiero, gdy oświadczył, że wpośród tych ławek będzie nasza, szkolna z dzieciarni, uwierzyliśmy, że to nieprawda.

Ojciec do ostatniej chwili chodził w futrze po korytarzu. Różni ludzie ciągle go o coś pytali. Za każdym razem odpowiadał im:

— Świetnie! Świetnie!

Zaterkotały dzwonki, uciszyło się zupełnie i wyszedł stryj, we fraku, z brylantowymi spinkami w gorsie. Brawo było niewielkie, choć my biliśmy z całych sił. Za stryjem szedł pan Gall.

Karol bawił się w kącie łoży, — mówił, że widział to już tyle razy. Wtedy dopiero powiedział mi Irzek, że nie będzie żadnych ogni sztucznych, tylko sam śpiew.

Śpiew trwał cały prawie wieczór, to stryj, to znów publiczność z brawami, jakby jakaś walka. Mimo że *ich* wcale nie widział, wpatrzony świetlistą szparą spojrzenia ponad żyrandol, w tę jakąś niedostrzegalną swoją gwiazdę.

Gdy skończył już wszystko, zerwała się burza oklasków. Ludzie wniebogłosy wykrzykiwali nasze nazwisko. Pan Gall rzucił się stryjowi w objęcia. Służący w granatowych frakach wnosili wieńce. W ogłuszającym hałasie pokazał mamie ojciec największy, laurowy i powiedział:

— Ten jest od nas.

Mama z wypiekami na twarzy ścisnęła ojca za rękę.

Dawno staliśmy na korytarzu, a huk ciągle jeszcze nie ustawał. Nie można już było dłużej czekać, obeszlśmy teatr od tyłu. Niebo czarne, gwieździste, wznosiło się wysoko nad grubymi gałęziami plant. W oświetlonym przedsionku czekało kilku panów w wytartych paletkach. Bardzo się niecierpliwili.

Ojciec nam wytłumaczył, że to są recenzenci,

którzy o wszystkim, co się działo tego wieczora, napiszą jutro w gazetach. Odwrócili się od nas, — z głębi korytarza kroczył już stryj. W rękach, drżących może jeszcze od śpiewu, niósł wieńce. Czerwone wstęgi wlokły się po podłodze.

Recenzenci zastąpili mu drogę. Nie wolno mu było mówić na powietrzu. Oddawszy do potrzymywania kwiaty, ścisnął tych panów za ręce. Potem wsiadł do powozu, zawołał na mego ojca i pojechali. Mama i stryjenka odwiozły nas na Karmelicką, więc nie wiem, co się działo w domu tego wieczora. Na pewno była olbrzymia kolacja!

Co się potem działo od koncertu do wyjazdu stryja, nie bardzo pamiętam. Jedno jest pewne, że w parę dni po koncercie dostałem liszajów na brwiach. Mama mówiła, że to z pewnością od Ledi, ale mimo to, gdy stryj wyjeżdżał, płakałem serdecznie.

Stał we drzwiach z podróżną czapką w ręku. Stryjenka w atlasowej salopie dawno czekała w powozie, na dole. Stryj patrzył, czy ludzie, znośząc, nie potracają zanadto kufców, pełnych tyłu wspaniałości. Bił po okuciach laską i mówił do ojca:

— Szkoda, żeś mnie nie słyszał w pełnym blasku.

Gdyśmy wrócili do pokoju, Tomasz wynosił na ramieniu dobrze podeschnięte wieńce laurowe do kuchni. Stryj zabrał tylko wstążki.

Mama stała w otwartych drzwiach, jakby niezmiernie zdziwiona. Ojciec zachmurzył się, machnął ręką, kazał mi się ubrać i poszedł ze mną do swego kolegi, doktora od liszajów.

Ten kolega doktor oświadczył, że ich dostałem od psa.

Więc od Ledi.

II

Trwały więcej, niż rok. Nikt się nie spodziewał, że będą tak uporczywe. Smarowało się je wielu rozmaitymi maściami, które najczęściej pachniały cynamonem.

Z tego powodu przestano u nas dawać cynamon do legumin i nawet dziś w moim własnym domu cynamonu do legumin się nie dodaje.

Gdyby był stryj nie kopnął wtedy Ledi i gdyby mnie potem nie polizała, nie dostałbym tego paskudztwa. Mimo to przebaczyłem stryjowi wszystko.

Wszędzie go malowali, jako króla, lub bohatera z mieczem. Pod spodem drukowano pochwały w różnych językach. Prócz naszego nazwiska, nie rozumieliśmy z tych artykułów ani jednego słowa. Ale ojciec czytał to wszystko głośno po herbacie z bardzo wielką radością.

Biada, jeżeli wtedy właśnie przyszedł jaki chory. Wtedy ojciec pytał się Tomasza, czy „jako taki” ma jeszcze prawo żyć?

Pisywali do siebie ze stryjem coraz częściej, i ojciec coraz częściej mawiał, że też mu się jeszcze coś od świata należy.

Zastanawiałem się, co się może człowiekowi należeć od świata i jak się o to klócić?

Pewnego dnia po telegramie, który przyszedł rano, mama rzuciła przy śniadaniu półmisek z szynką na podłogę. Uznaliśmy niezwykłość tego

wydarzenia. Tomasz cały dzień zamykał chorym drzwiami przed nosem.

Mama wróciła z Karmelickiej zapłakana i całym po prostu, przy nas, powiedziała ojcu:

— Rób, jak chcesz, tak czy inaczej, zawsze będziemy razem.

Ojciec zbladł, po czym powiedział też po prostu i przy nas:

— Nie ma lepszej żony na świecie.

Posłał Tomasza po babkę. Długo siedzieli we troje przy kominku. Nasze papierowe łodzie płynęły po dywanie, a ojciec pokazywał mamie, niby coś w oddali, za Sukiennicami. Nawet białą, wąską szparką mrużył oczy, jak stryj.

Ale nie widzieliśmy nad ojcem miejsca wybranej gwiazdy, choć Irzek potem mówił, że może trochę widział.

Za parę dni szaleliśmy z radości. Ojciec rzucał doktorstwo i stawał się dyrektorem teatru. „Umieraliśmy” też z tego powodu ze strachu. Na dyrektorstwo trzeba było pieniędzy. Nasze własne już poszły i nie wystarczyły. Nikt nie chciał pożyczyć, wszyscy tylko rady dawali.

Wiedzieliśmy prawie zawsze dokąd ojciec idzie i kiedy będzie wracał. W skrytości ducha modliliśmy się do ludzi, u których w danej chwili był o pożyczkę. Żeby się zgodzili. Żeby już nareszcie dali te pieniądze.

Czekaliśmy go ukradkiem za firanką, w salonie. Gdy wracał z laską sztorcem postawioną w kieszeni, wiedzieliśmy, że z niczym. Szedł wtedy ciężko, przykucając w kolanach.

— Dla kogo to wszystko? — pytała mama, gdy

wróciwszy, stał w płaszczu przy morelowym fotelu.

— Dla nikogo, — odpowiedział, — dlatego, że ja też chcę żyć.

Aż pewnego wieczora wrócił dwukonną dorożką i pokazał podpisany weksel. Chyba całe życie pamiętać będę ten długi, żółty papierek, który w rękę ojca powiewał, niby sztandar jakiegoś olbrzymiego zwycięstwa.

Z synów doktora staliśmy się synami dyrektora teatru.

W swoim czasie odbyło się to całkiem dosłownie. Wróciwszy z dyrektorskiej podróży, rano, po śniadaniu, kazał ojciec wyjść Tomaszowi do sieni zadzwonić w charakterze chorego. Musieliśmy być przy tym wszyscy w przedpokoju.

Cóż miał Tomasz robić? Zadzwonił i jak mu kazano spytał w drzwiach, — czy zastałem pana konsyliarza?

Ojciec uklonił się nisko i odpowiedział:

— Przepraszam pana dobrodzieja, ale pan doktor wyjechał i już nigdy nie wróci.

Wybuchnęliśmy śmiechem, Tomasz się zaczerwienił, ojciec dobył z pularesu papierek dwudziestokoronowy i wręczył go uniżenie „pacjentowi”.

— Służę panu dobrodziejowi i bardzo przepraszam za zawód. Pan będzie łaskaw powiedzieć chorym pana konsyliarza, że każdemu chętnie zapłaci, byleby ich już nigdy w życiu nie oglądać.

Ojciec uklonił się i, objawszy mamę przez pół, wszedł razem z nami do salonu. Miała łzy w oczach.

— Nie wiedziałam, — westchnęła z uśmiechem, — że było ci tak ciężko.

W ten sposób z synów doktora awansowaliśmy

na synów pana dyrektora. Chodziliśmy do „naszego” teatru ukradkiem i otwarciem, ile się nam tylko żywnie podobało. Od czasu nowej sztuki pod tytułem „Popychadło”, postanowiliśmy do wszystkich służących mówić pani. Podczas wykładu o machinie Atwooda myślałem zawsze o Hamlecie. Już nie mówiąc o tym, jakbyśmy teraz mogli zaimponować Karolowi. Mimo wszystko przecież ojciec nasz pokonał stryja, bo jednak dyrektor jest ponad artystami.

Nasze spotkania było coraz możliwsze. Telegrafowali do siebie coraz częściej.

— Będzie śpiewał u mnie! Czy ty sobie to możesz wyobrazić?!

Mama sobie to wyobrażała ślicznym równym uśmiechem, gdy nagle ojciec przyszedł z kancelarii, rzucił na stół depezę i powiedział, że o spotkaniu nie ma już wcale mowy. — On mnie traktuje, — bił pięścią w telegram, — jak jakiegoś swego dyrektora. Rozumiesz? Po tym, co zaszło, nie znamy się, na zawsze! Nie istnieje dla mnie. Trudno, straciłem brata. Ale za to nabrałem doświadczenia!

Jak miał stryj dla nas nie istnieć, kiedy tak głośno żył dalej dla świata. Zjawiał się ciągle w wielkich obcych ilustracjach z samsonowskimi puklami na plecach, wpatrzony centkowaną fotograficznie źrenicą w swoją daleką gwiazdę. Jakże miał przestać być, gdy z wydrukowanego pod portretem artykułu okazało się, że jedzie do Ameryki, i to na długi czas.

Mimo wszystko „szaleliśmy z radości”. Teraz już nie tylko ziemia, kolej, hotele, mosty i rozmaite kraje, ale nawet morze musiało brać udział w sławie naszego nazwiska.

— Skoro już jedzie ak daleko w świat, — ojciec wzruszył ramionami i znów zaczął sypać telegramy. Trwało to dość długo, niby telegraficzny pojedynek na cyfry. Ciągłe się umawiali o ilość i cenę występów.

— Niesłychane, niesłychane pieniądze, — powtarzał ojciec. — Dobrze, że warto, ale w końcu, czy oni zechcą płacić, tyle?

„Ich” — publiczności — nienawidziliśmy teraz z całego serca. Powinniby byli choćby całe miasto sprzedać i zapłacić.

Pojedynek ustał, ojciec powiedział, — niech będzie co chce, jest mi to wszystko jedno, — i na mieście pojawiły się ogromne afisze, jak wół, z nazwiskiem stryja.

Zajechali do hotelu, nie do nas.

— Już nie u nas. Co to, to nie, — orzekła cierpko mama.

Nazajutrz byli tylko na powitalnym obiedzie. Stryja, jako takiego, widzieliśmy przedtem w teatrze, na próbie.

Zmienił się, był jakby jeszcze większego wzrostu, bo utył. Teraz już naprawdę ruszał się, jak król. Wszysey mu ustępowali z drogi, a właściwie sam wszystkich roztrącał. W półmroku czarnych dekoracji szedł naprzód, nie zważając na nikogo, niby szumiący słup cienia.

Na próbie nie śpiewał, ledwie dosłyszalnie zaznaczając melodie. Dopiero pod koniec w ostatnim akcie, ni z tego, ni z owego, gdy przyszło „opowiadanie” zaczął tak czystym i przecudnym głosem, że mu z otwartych ust bił jak promień słońca.

Orkiestra przestała grać i zaczęła walić brawo. Niby się kłaniał, a jednak ruchem głowy jakby za-

przeczał, wsłuchany w czarną głębię widowni. Twarz jego, złana grubym potem, wydała się nam smutna śmiertelnie.

Wtedy właśnie, na tej próbie, ukryci na galerii, postanowiliśmy urządzić stryjowi owację kwiatową, za nasze własne pieniądze, dotąd pilnie składowane na rower.

Podczas powitalnego obiadu okazało się, że Karol nie wie już właściwie po jakiemu mówi. Zostało mu trochę polskich słów, ale przybyło tyle obcych, żeśmy go prawie wcale nie rozumieli. Powiedział nam w tajemnicy, że się ze swoim ojcem nienawidzą, ale że jemu, Karolowi, jest to całkiem obojętne, bo i tak w końcu zawsze syn przetrwa ojca.

Chciałem mu opowiedzieć o liszajach od Ledi, ale oni wcale już nie pamiętali, że wogóle była u nich kiedyś. I tak ze wszystkim, na każdym kroku. Przez cały czas mówiło się tylko o hotelach, pociągach i wygodnych połączeniach. Pod koniec obiadu ojciec odebrał telefon, że „oni” po prostu szturmują kasę.

Stryj się uśmiechnął i zaraz za pomocą ślicznego chrząknięcia popróbował złożonej w piersiach struny. Wydała dźwięk tak czysty, że mnie z Irzkiem przeszedł nagły dreszcz. Ale stryj nie był całkiem zadowolony. Zmrużywszy jedno oko, przysłuchiwał się ostrożnie i nieufnie.

Na kawę przyjechał profesor z Adą. Powiedziała, że też ma głos. Kazaliśmy jej chrząknąć dla sprawdzenia. Chrząknięcie było tak marne, że parsknęliśmy śmiechem. Chciała koniecznie śpiewać przed stryjem. Zgodził się, ale przez cały czas tego

nieszczęsnego śpiewu rozmawiał z naszym ojcem o czym innym.

Pretensjonalny popis skończył się zwykłym ordynarnym płaczem Ady.

Wodzili się potem z ojcem we dwóch, po salonie żeby wszystko zupełnie wyjaśnić. Uznaliśmy po tej rozmowie, że mimo, iż ojciec był dyrektorem, nigdy stryja nie pokona.

Ojciec był tak przybity, że się nawet nie ucieszył naszymi przygotowaniami do owacji. Oddał nam nasze zaoszczędzone pieniądze, a mamie powiedział wieczorem:

— To trudno, między nim a mną coś pękło na zawsze, nie zrozumiemy się nigdy.

Okazało się to zwykłą nieprawdą od razu podczas pierwszego występu.

Idzie pierwszy akt, ojciec siedzi z nami w łoży, i raz po raz mówi do mamy: — Bój się Boga, słuchaj.

Po drugim akcie, gdy ze wszystkich balkonów gruchnęły kwiaty, krzyki, klaskanie i tupanie, zrywa się i powiada:

— Chodźcie, chłopcy, do niego.

Byliśmy wtedy pierwszy raz w życiu za kulisami. Dotąd pamiętam pustą, kwadratową przestrzeń, dzieloną płótnem dekoracji, dziurkowaną u góry i od dołu główkami lampek elektrycznych.

W garderobie uderzył nas widok całkiem nieoczekiwany. Wydało się nam w pierwszej chwili, że między stosami wieńców i kwiatów stryj, w srebrnej zbroi, płacze.

Tymczasem wtedy jeszcze nie płakał. Siedział tylko przed lustrem i, pochylony, dyszał. Wielką mocą swych zapewne ogromnych płuc dyszał na

zakurzoną podłogę tak mocno, że długie włosy peruki drżały jak na wietrze. Ze skroni spływał stryjowi pot i kapał widocznymi kroplami. Tworzyły się od tego na czole i policzkach grube brózdki, którymi jakby ściekać zaczynała w dół cała twarz. Żyłki rozdęte na szyi pomieszały się z koleiną roztopionej szminki.

Nie zwrócił na nas żadnej uwagi. Z daleka ciągle słychać było szum brawa.

Spostrzegłszy nas nareszcie, podniósł do góry umazaną twarz i, szarpiąc na sobie srebrne łuski zbroi, wykrzyknął:

— Co za błazeństwo! Wiecznie, zawsze w tych szmatach, świecidłach! Już nie mogę!

Zdarł z głowy perukę i, wsparty na frakowej klapie mego ojca, rozplakał się jak dziecko.

Wyszliśmy na korytarz. Ada powtarzała: — Dobrze mu tak, dobrze mu tak, kiedy ja śpiewałam, rozmawiał.

Powiedzieliśmy jej, żeby nie podnosiła łapy, kiedy kują konia, na co ona, że ją to nie nie obchodzi i że gdy stryj będzie wyjeżdżał do Ameryki, już na dobre, — wcale go nie odprowadzi. I nie odprowadziła. My, naturalnie, byliśmy do końca.

Powóz czekał przed hotelową brama, za nim wielka platforma na skrzynie. Było ich kilkanaście. Aż ludzie przystawali na ulicy. Padał drobny śnieg. Stryj we wspaniałym futrze dreptał z miejsca na miejsce i patrzył jak służba ładuje kufry na platformę. Stryjenka w atłasowej salopie czekała cierpliwie w powozie.

Karol żarł cukierki. Za każdym razem otwierał okrągłe pudełko i wpychał sobie do ust po pięć, dziesięć czekoladek.

— No, jazda, teraz tę ostatnią, — stryj kopnął wielką skrzynię, wzruszył ramionami, rzekł do ojca, — błazeństwo! — i zapatrzony, jakby w gwiazdę, wybraną wyżej hotelowego dachu na szarym chmurnym niebie, — pojechał.

Nie widzieliśmy się od tego czasu, aż po wielu, wielu latach, gdym wracał do rodzinnego miasta z dalekich na świecie zarobków. Któż sobie zdoła wyobrazić mą radość! Idę z małym kuferkiem od stacji i nagle!

Widzę na murach znowu nasze nazwisko: — Jutro wielki koncert znakomitego śpiewaka.

Poleciałem do kasy, — w ogonku nie było nikogo. Kasjerka najspokojniej w świecie dała mi za niedrogie pieniądze bardzo wygodny bilet. Wybrałem się wcześniej do teatru. Nie było żadnych tłumów, "oni" schodzili się powoli, po dwoje, po troje, czworo.

Mój Boże, — bez żadnego pośpiechu. Publiczności się zeszło najwyżej tyle, żeby nie było za wielkiego wstydu.

Stryj zjawił się w tych samych brylantowych spinkach. Stał przy fortepianie, ciężki, ogromny, skinął majestatycznie chudziutkiemu akompaniatorowi, wznosił głowę ku pustym mrokom sali i jął śpiewać. Twarz mu coraz zachodziła sinym, gęstym fioletem. Nie wiosłował wcale rękami, nie rzucał nagłych promieni swego wielkiego głosu, bo mu go już w piersiach nie stało. Ale "za to" każde słowo rzeźbił każde podawał pustej sali, jakby tam, gdzieś w mroku, czekało na te słowa zbawienie utracone.

Gdy skończył, służący w granatowej liberii podał mu jeden wielki, ciężki laurowy wieniec.

Nie mogąc się oprzeć starym wspomnieniom, od-

wiedziałem stryja nazajutrz w jego willi. Wchodziło się przez przedpokój wysłany dywanami; dalej pełno było wszędzie potretów, darów, złotych i srebrnych lir, haftowanych napisów.

Właśnie pracowali razem z Adą. Była to już dorosła panna. Stryj, nie podnosząc się nawet na moje przywitanie:

— Byłeś wczoraj, — krzyknął radośnie, — słyszałeś? Koncert na nacinanych nogach. Mam wodę. — Wskazał dumnie koc, którym były okryte.

Przez ten czas Ada, niby osoba, która to samo słyszy już po raz czterdziesty, patrzyła z unudzeniem na ściany, obite od góry do dołu wstęgami. Różnokolorowe napisy ciągnęły się przez spłowiałą morę, jak kręte żyłki w marmurze.

Stryj przesunął w piersiach głos, ale nie był to już złoty kamień... Jakby mu się tam piach z miejsca na miejsce przesypywał.

— Więc słyszałeś. A ci durnie, tu cisnął na dywan kupę gazet, — piszą, że nie mam czym śpiewać! Żaden z tych niedołęgów nie rozumie, że głos, że blask bez duszy... W końcu chodzi przecież tylko o tę trochę duszy.

Zgodziłem się na to warunkowo, bo przecież nawet wczoraj, mimo że to był pierwszy dzień francuskiej walki w cyrku, publiczność, czyli "oni", dopisali i ocenili stryja. Są ludzie, którzy rozumieją sztukę. Najlepszym tego dowodem chociażby ten wspaniały wieniec, który stryj wczoraj otrzymał.

— Wieniec?! — Śpiewak uniósł się ciężko na wezglowiu. — Wieniec ten przysłałem sobie sam. Rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?!

Machnął ręką i kazał jeszcze raz Adzie powtó-

rzyć pieśń, której się uczyła na wyrobienie oddechu.

— Zobaczysz, co za głos. Ma, ma, no, ale co z tego?!

Usiadłszy do fortepianu, zaczęła od początku równym, prześlicznym światłem ogromnego sopranu:

Och, gdybym mogła powrócić
do czasów pierwszego dzieciństwa.

Stryj oddychał wraz z nią, szeroko i wyniośle, w oczach mu spłonęła daleka, wielka gwiazda.

Przerwali.

— To coby stryj zrobił, gdyby można było zawrócić? — spytałem niespodzianie.

Popatrzył na mnie uważnie, wyciągnął się, i długo, długo słuchał ciszy pokoju. W koło ust zjawiły mu się fioletowe cienie.

Ada obcasem lekko pukała w podłogę.

— Gdyby można było wrócić? — powtórzył.

Na twarzy rozprzędła mu się noc, oczy zgasły nagle.

— Tobym, — rzekł opieszale, piaszczystym brzmieniem złotej ongiś struny, — tobym całe życie leżał cicho na trawie. Rozumiesz?

Wyciągnął ręce w powietrze. Po chwili opadły. I wtedy, pierwszy raz od czasu, kiedyśmy się poznali, zobaczyłem, jak mu w otwartych źrenicach znikła wybrana gwiazda, a zabłysły dwie ciężkie, pełne łzy.

ZAKOŃCZENIE

(Czyli, — co będzie dalej?)

Po tym wszystkim, co się tu opowiedziało, musi przyjść nareszcie miejsce u dołu stronicy, na którym autor stawia słowo: — KONIEC. Ja jednak słowa tego bynajmniej na tym miejscu nie kładę. Uważam, że książka, którą trzymasz w rękach, czytelniku, wcale jeszcze nie jest skończona.

Jakto?

Naturalnie!

Zostało przecie całe mnóstwo spraw do wyjaśnienia, do wytłumaczenia, do obgadania.

Wspomniałem w Tajemniczym Przyjacielu o pewnej ciotce i o tacy, które potem będą potrzebne. O tacy już wszystko było co miało być, a o ciotce? Nic.

Wspomniałem o Tomaszu, który odegrał dużą rolę w jednym ważnym wypadku mego życia. Rola Tomasza opowiedziana jest w Skarbonce. Tymczasem okazuje się, że potem, jeszcze raz, kiedyś indziej odegrał jeszcze ważniejszą rolę i to w o wiele ważniejszym wypadku.

Więc jakże? Więc o tym ważniejszym wypadku ma się nikt nie dowiedzieć?!

Dalej: — Wszyscy już pamiętają z tej książki, że ojciec

mój rzucił doktorstwo i został dyrektorem teatru. Rzecz ta stała się wiadoma z opowiadania pod tytułem Sława.

Doskonale! Ale w traktacie naukowym pod tytułem Szkoła autor wspomina w odnośnym przykładzie pod tytułem Żyd, że mieliśmy wtedy powóz i konie. Proszę tę drobną, na pierwszy rzut oka niepozorną wzmiankę zestawić z dyrektorstwem. Między dyrektorstwem a końmi zachodził bardzo ważny związek, z którego wynikły później nader zawile historie.

Teraz po słowie KONIEC musiałoby to wszystko już bezpowrotnie zaginąć.

Idźmy dalej:

W opowiadaniach moich, rozprawach i traktatach występuje postać, która na pierwsze wejrzenie jest drugorzędna. Myślę naturalnie o Guciu.

Gucio ma rękawiczki, Gucio w zaprasowanych spodniach skoczył do wody. Gucio powiedział: — historią funta kłaków nie warta, Gucio miał laseczkę. Gucio krzyknął: — zgubisz! Gucio to, Gucio owo, dziesiąte i dwudzieste.

W to im graj!

Gucio jest postacią drugorzędną, służącą — powiedzą uczni ni krytycy, — do ożywienia obrazu.

Jak autor wywołuje ożywienie?

Za pomocą Gucia.

Jak autor wywołuje humor?

Za pomocą Gucia.

I tak chcecie się rozstać z tym moim miłym Guciem? Tymczasem było, stało się i działa całkiem inaczej. Nie tu, w tej książce, a parę lat później.

Inaczej mówiąc, Gucio ma nam przepaść, mimo, że potem w życiu stał się najdziwniejszą w świecie postacią. Bo przecież to nie byle co, żeby być, na przykład, drzewem przez piorun

strzaskanym i żeby mimo to dawać cię, radość i otuchę innym.

Nie traćmy równowagi, idźmy jeszcze dalej. Chodzi nam o rzecz małą, niepozorną niby, a jednak bardzo ważną, bo chodzi nam o prawdę.

Ciągle mówię o rodzicach. Z tego, co mówię, wynika, że prócz kilku wyjątków (sprawa z tacą, uderzenie Sontaga, sprawa Bieniarza i Kastalski) byłem bardzo dobrym synem.

Tymczasem możnaby się dowiedzieć z różnych późniejszych wypadków, że wcale znów zawsze takim nadzwyczajnym wzorusem nie byłem.

Na wszystko, co człowiek robi, znajdują się świadkowie. Nie wiadomo, skąd się biorą, kto ich podsuwa i czy tymi świadkami są ludzie, czy rzeczy, przedmioty czy zwierzęta, ptaki czy drzewa — dość na tym, że ci świadkowie zawsze są, i wcześniej czy później, zawsze prawdę mogą odsłonić.

Rzecz okropna: Gdy ktoś inny prawdę za nas mówi, a nie my sami o sobie, to przecie, jakby w nas dusza gasła, jakbyśmy nie żyli.

Nie byłem zawsze wzorusem, — sprawy te powinny wyjść na światło dzienne.

Kto ma je wyznać?

Ja sam, śmiało i otwarcie.

Gdzie?

W następnej książce*.

Poza tym wszystkim zostało jeszcze kilka utajonych szczegółów. Dlaczego się utaiły, nie wiem, ale się utaiły. Należy do nich ogromnie smutny wypadek, jaki nas spotkał za miastem, na Panińskich Skałach, z kukulką.

* Autor ma tu na myśli dalszy ciąg *Miasta Mojej Matki*, zawarty w książce p. t. « W Cieniu Zapomnianej Olszyny ».

Z powyższego wynika, że rzeczy zaczęte tu, nie są skończone, że trzeba w obranym kierunku iść dalej i rzeczywiście napisać drugą książkę, która będzie dalszym ciągiem tej.

Sądysz może, czytelniku, że w takim razie wyprowadzono cię w pole? Że ci dano rzecz niedokończoną?!

Nie wyprowadzono cię w pole, bo jak z tą książką, jest ze wszystkim na świecie. Nic się tu nie kończy, z jednego drugie wyrasta i ledwieś pomyślał, że zima nastala, gdy już wiosna kwiatami spod białych śniegów wyglądać zaczyna. Całe szczęście, szczęście, od którego radość drży w moim sercu na zawsze, że niczego dokończyć nie możemy.

Prawdy też do dna wypowiedzieć się nie da. Ale jeżeliś myślał, że w MIEŚCIE MOJEJ MATKI mogłem być coś zataić, toś się znacznie pomylił.

Wrócimy tu jeszcze, wrócimy, ulicami tymi chodzić będziemy. Ulicami chodzić, po ogrodach biegać i z balkonów patrzeć na wieże będziemy jeszcze nieraz.

Opuścimy to miasto nie wcześniej aż wtedy, gdy mi położysz rękę na ramieniu i gdy mi powiesz, — że gdybyś swojej nie miał, tobyś moją matkę kochał, jak własną.



DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM
INSTYTUTU LITERACKIEGO
W RZYMIE NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony.*

ADAM MICKIEWICZ: *Księgi Narodu Polskiego i
Pielgrzymstwa Polskiego.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA: *Kobiety.*

PAWEŁ HOSTOWIEC: *Dziennik podróży do Austrii
i Niemiec.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Prometeusz.*

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: *Miasto mojej
matki.*

W DRUKU:

ANDRZEJ STRUG: *Dzieje jednego pocisku.*

LEON BLUM: *Na poziomie człowieczeństwa.*

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *Beniowski.*

2nd. Stan